POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE

Wychodzi co tydzień — ***Dnia 8-go września 1945 r.*** — **Rok VII. Nr. 36**

"ZA ŻELAZNĄ KURTYNĄ..."

W pierwszej mowie wygłoszonej dnia 16 sierpnia w charakterze przywódcy opozycji, Winston Churchill zmuszony był stwierdzić, iż Europa Środkowo-Wschodnia oddzielona jest od reszty świata jak gdyby "żelazną kurtyną".

Stwierdzenie to jest bardzo cenne i znaczące, gdyż padło z ust współtwórcy. Teheranu, Jałty i Poczdamu; przedmiotem jednak tego artykułu nie jest rozważanie, dlaczego i w jaki sposób "żelazna kurtyna" zapadła nad jedną trzecią Europy i jaki był w tym współudział b. premiera Churchilla.

Przedmiotem niniejszych uwag jest zwięzłe rozważenie tych przemian, jakie dokonały się na terytoriach zajętych przez wojska sowieckie od chwili, gdy przekroczyły one granice Z.S.R.R., t.j. od stycznia 1944 do chwili, gdy zastosowanie bomby atomowej oraz zakończenie wojny z Japonią zapoczątkowało daleko idące zmiany w światowym układzie sił, które już dziś poczynają się odbijać także w rosyjskiej sferze wpływów. Jest to więc okres przeszło półtoraroczny, ale jak dalej zobaczymy — nie było to zwykłych kilkanaście miesięcy wojny i okupacji. Były to miesiące rewolucyjne. O ile zaś lata wojny liczą się podwójnie, to lata rewolucji co najmniej dziesięciokrotnie.

CO SIĘ SKŁADA NA ROSYJSKĄ STREFĘ WPŁYWÓW

Okupacja sowiecka stopniowo obejmowała w miarę postępów działań wojennych, aż wreszcie objęła całkowicie dziesięć państw /Finlandię, Estonię, Łotwę, Litwę, Polskę, Rumunię, Czechosłowację, Węgry, Jugosławię i Bułgarię/ oraz dwa inne częściowo /Austrię i Niemcy/. W ten sposób pod panowaniem Rosji znalazła się niemal połowa obszaru Europy /nie licząc Rosji europejskiej/, z 130 — 140 milionami ludności. Odrzuciwszy Austrię i Niemcy, które stanowią same przez się dwa oddzielne zagadnienia, zajmiemy się losem dziesięciu państw, znajdujących się pomiędzy Rosją a byłą Rzeszą Niemiecką.

Wiadomości z tego obszaru są istotnie skąpe, jeżeli chodzi o szczegóły, lecz w zupełności wystarczają do wytworzenia sobie szkicowego obrazu wielkich przemian, jakie narzucona z zewnątrz i z zewnątrz kierowana rewolucja, dokonała pod osłoną "żelaznej kurtyny" sowieckiego kordonu wojskowego.

ROZBIJANIE DAWNYCH PARTII I TWORZENIE NOWYCH "BLOKÓW"

Spośród dziesięciu państw, które znalazły się w rosyjskiej sferze wpływów od roku 1944, trzy zostały z powrotem wchłonięte bezpośrednio przez Związek Sowiecki /Litwa, Łotwa, Estonia/, czterech zaś pozostałych jego sąsiadów, w rozmaitych rozmiarach, zmuszono do daleko idących ustępstw terytorialnych /Finlandia, Polska, Rumunia i Czechosłowacja/. Z siedmiu państw, które zachowały nominalną niepodległość trzy — to członkowie Zjednoczonych Narodów /Polska, Czechosłowacja, Jugosławia/, cztery zaś — to byli satelici Rzeszy /Finlandia, Węgry, Rumunia i Bułgaria/.

Scalanie sowieckiej sfery wpływów odbywa się przede wszystkim za pomocą kształtowania ustrojów wewnętrznych poszczególnych państw, aby je upodobnić, w miarę możności, do ustroju Z.S.R.R. Nie bez znaczenia są jednak i układy, mające formalnie charakter układów międzynarodowych. Otóż Sowiety zawarły z trzema państwami słowiańskimi, będącymi poza tym członkami t.zw. "rodziny Zjednoczonych Narodów", traktaty "Przyjaźni, Wzajemnej Pomocy i Współpracy Powojennej". Z czwartym państwem słowiańskim traktat taki nie został formalnie zawarty, lecz pomimo to Bułgaria stale jest wymieniana na poczesnym miejscu wśród narodów bloku słowiańskiego, "liczącego ponad dwieście milionów ludzi".

Jak dotychczas, wbrew zapowiedziom o zawieraniu formalnych traktatów pokojowych, stosunki pomiędzy Z.S.R.R., a czterema byłymi satelitami "Osi" regulowane są poszczególnymi układami o zawieszeniu broni.

Ale dziedzina stosunków wewnętrznych jest daleko ważniejsza i ciekawsza. Sowiecka inżynieria społeczna ma tu pełne pole do popisu i wypróbowywania swych długo przygotowywanych wzorów. Pierwsi są przy pracy polityczni "dynamiteros" czyli rozbijacze dawnych ugrupowań politycznych, przygotowujący teren pod nowe formacje polityczne, zwykle zwane "frontami". Rozsadzanie odbywa się od wewnątrz, za pośrednictwem delegowanych do poszczególnych starych partii zespołów komunistycznych. Doprowadziwszy do rozłamu, obejmują one przewodnictwo nad opanowaną przez siebie częścią partii i włączają ją do danego "frontu".

Oporni przywódcy starych partii zostają bądź to unieszkodliwieni, jak 16 przywódców Polski Podziemnej, lub zdyskredytowani i pozbawieni możności działania, jak Maniu i Bratianu, lub też chronią się na terenie alianckich przedstawicielstw dyplomatycznych, jak Radescu czy Dymitriew, lub wreszcie — jak w wypadku Maczka — wynoszą się zagranicę.

Poza tym prowadzi się usilną "czystkę", opartą już zupełnie na wzorach sowieckich. Narzędziem tej "czystki" są t.zw. "trybunały ludowe", likwidujące obok quislingów i volksdeutschów, za jednym zamachem te wszystkie elementy, które zdradzają jakiekolwiek chęci oporu przeciwko narzuconej z zewnątrz i z wewnątrz kierowanej rewolucji.

Wśród tego chaosu, rozbicia i terroru jedynym ośrodkiem siły pozostają poszczególne partie komunistyczne. Dokoła nich kształtują się nowe twory polityczne, będące koalicjami kadłubowych partii — ujarzmionych, omamionych lub steroryzowanych. "Bloki" te wyłaniają następnie tak z.w. "przyjazne wobec Rosji rządy", będące koalicjami marionetkowych stronnictw, opanowanych od wewnątrz przez jaczejki komunistyczne.

Porozumienia takich widmowych partii noszą w poszczególnych krajach niejednakowe, choć podobne nazwy. W Bułgarii nazywa się ono "Frontem Ojczyźnianym", w. Jugosławii — "Narodowym Frontem Oswobodzenia", w Rumunii — "Narodowym Frontem Demokratycznym", na Węgrzech — "Narodowym Frontem Niepodległości", w Czechosłowacji — "Narodowym Frontem", w Polsce — "Frontem Demokratycznym", a w Finlandii — "Unią Demokratyczną".

W każdym z rządów koalicyjnych, wyłonionych przez taki front, kluczowe stanowiska piastowane są przez komunistów, którzy w oparciu o wojska sowieckie i N.K.W.D. narzucają poszczególnym krajom ustrój totalny, wbrew woli ubezwładnionej i ubezwłasnowolnionej większości mieszkańców poszczególnych krajów. W rozmaitych krajach proces ten jest rozmaicie zaawansowany, lecz kierunek rozwoju jest wszędzie ten sam. Jak dotychczas najwięcej niezależności zachowała — Finlandia.

REWOLUCJA SPOŁECZNA

Przemiany w dziedzinie społecznej, upodabniające społeczeństwa sowieckiej sfery wpływów do reszty Związku Sowieckiego, są równie daleko idące, jak przewrót polityczny.

Dotychczasowe różnice społeczne zacierają się na skutek "czystek", likwidacji kapitału prywatnego w wyniku tak konfiskat, jak i nowego ustawodawstwa finansowego oraz reformy rolnej. Kontrola rynku pracy i przymusowy pobór do robót związanych z odbudową są dalszym czynnikiem równającym. Wielkie zakłady przemysłowe, handlowe i finansowe są pośpiesznie przejmowane przez państwo, bezpośrednio lub też za pośrednictwem t.zw. rad załogowych. Własność prywatna ograniczona jest do małych przedsiębiorstw, gospodarstw czy domów. Handel zagraniczny jest monopolem państwowym.

W ten sposób narody, obejmujące ponad sto milionów ludzi, szybkimi krokami zbliżają się do sowieckiego ideału sproletaryzowanych społeczeństw jednoklasowych, rządzonych przez jedną partię, której członkowie są tolerowanym wyjątkiem od zasad stosowanych wobec rządzonych przez siebie mas.

REFORMA ROLNA

Najdalej idące i najbardziej charakterystyczne zmiany zaszły jednak w ustroju rolnym wszystkich dziesięciu państw "chłopskiej Europy". Jak wiadomo w okresie międzywojnia we wszystkich tych krajach prowadzono mniej lub bardziej szeroką reformę rolną, mającą za zadanie poprawę wadliwego ustroju rolnego przy jednoczesnym zachowaniu trzech podstawowych warunków: 1/ przeprowadzania zmian stopniowo, bez naruszania interesu gospodarki narodowej jako całości; 2/ utrzymania gospodarki prywatnej oraz; 3/ dostarczenia chłopom otrzymującym ziemie narzędzi do jej uprawy.

Z chwilą zajęcia poszczególnych krajów przez wojska sowieckie, dany "rząd prowizoryczny" niezmiennie narzucał w zawrotnym tempie podział ziemi, przekreślając powyższe trzy zasady, wywierając jednocześnie energiczny nacisk na samych włościan, by samorzutnie obejmowali grunta należące do "obszarników". Chłopi, mając z natury wysoko rozwinięte poczucie własności prywatnej, podejrzewając, iż za tym szybkim rozdziałem cudzej ziemi może się — jak to miało miejsce w Rosji — kryć kolektywizacja, raczej opornie i niechętnie uczestniczyli w tego rodzaju akcjach. Opór mas włościańskich został w wielu wypadkach przełamany dopiero przez działalność bojówek komunistycznych; przysyłają je zwykle ośrodki miejskie, z których inicjatywy organizowano komitety parcelacyjne.

Tego rodzaju proceder zastosowany został głównie w Polsce, na Węgrzech i w Rumunii. W Polsce właścicieli większej i średniej własności ziemskiej zmuszono do opuszczenia posiadłości w przeciągu trzech dni, a ziemię rozparcelowano przez komitety lokalne działające z inicjatywy, a często po prostu pod naciskiem bojówek komunistycznych złożonych z robotników przemysłowych. W Rumunii, gdzie w latach 1919 — 39 przygniatająca większość wielkiej własności została podzielona, zainteresowanie chłopów nową reformą było niewielkie. Jedynie na Węgrzech żywiołowy głód ziemi, przy żółwim tempie poczynań reformatorskich w okresie przedwojennym, sprawił, iż hasła podziału ziemi wywołały zapał mas chłopskich. Ostudziły go dopiero metody stosowane przy samym podziale i po jego dokonaniu.

W pozostałych czterech krajach zagadnienie rolne przedstawiało się nieco odmiennie. W Finlandii chodzi głównie o osiedlenie ludności emigrującej z prowincji zabranych przez Rosję na niewielu pozostałych jeszcze latyfundiach oraz uprawę ziemi uważanej dotychczas za nieużytki. W Czechosłowacji chodzi o likwidację resztek wielkiej własności pozostawionej przez reformę lat 1919 — 20, przy czym wchodzą tu w grę przede wszystkim posiadłości znajdujące się dotychczas w rękach niemieckich i węgierskich. W Bułgarii i Jugosławii, gdzie olbrzymia większość ziemi od dawna znajdowała się w rękach gospodarzy małych i średnich, przystąpiono odrazu do następnej fazy działania to jest do przygotowywania drogi do kolektywizacji, drogą organizowania kooperatyw, pod wielu względami niedaleko odbiegających od kołchozów czy sowchozów.

Jeżeli się weźmie pod uwagę, że dążeniem czynników, kierujących we wszystkich tych krajach rozdziałem ziemi, jest nadawanie działek nieco mniejszych niż normalnie potrzebne w danych warunkach klimatycznych i gospodarczych do prowadzenia gospodarki indywidualnej, jasne się staje, iż cała akcja jest tylko słabo zamaskowanym wstępem do kolektywizacji.

Jeżeli doda się do tego brak inwentarza i ziarna oraz obawę przed konfiskatami czy kontyngentami, to stwierdzić trzeba, iż rolnictwo, ta podstawa życia "Europy chłopskiej" nie jest zbyt dalekie od stanu zamieszania, z którego ci co chaos ten starannie preparowali będą usiłowali ratować je stanowczym zerwaniem z gospodarką jednostkową.

GRANICE I NARODOWOŚCI

Zaspokoiwszy swe bezpośrednie i natychmiastowe apetyty terytorialne kosztem Finlandii, Polski, Rumunii i Czechosłowacji oraz przez połknięcie państw bałtyckich, przystąpiła Rosja do przesuwania granic swych satelitów na zachód i południe tak daleko, jak tylko się da, oraz do rozluźniania struktury narodowościowej poszczególnych państw.

Granica nowej Polski oparta została na Odrze, Czechosłowacja otrzymała z powrotem Sudety a popiera się poza tym jej dążenia do otrzymania lepszej granicy strategicznej na przeciwstoku Lasu Czeskiego oraz pretensje do Łużyc, jak również części Śląska Opolskiego i Dolnego. Konflikt polsko-czeski o Śląsk Cieszyński pielęgnowany jest dalej po to, by przeszkodzić jakiejkolwiek bliższej współpracy obu państw. Podsyca się dążenia jugosłowiańskie do Triestu, a bułgarskie do Tracji greckiej i tureckiej. Spór węgiersko-rumuński o Siedmiogród, przez pewien czas nierozstrzygnięty, został przesądzony w 24 godziny po utworzeniu powolnego Rosji rządu Grozea'y i oddany Rumunii w nagrodę za podporządkowanie się dyrektywom z Moskwy.

W dziedzinie drugiej, należy zanotować tworzenie nowych podziałów w ramach państw narodowościowych lub też ich sztuczne wzmacnianie. I tak Jugosławia Tity składa się obecnie z sześciu sfederowanych jednostek, Czechosłowacja, po odebraniu jej Rusi Podkarpackiej, rozpada się na cztery części: Słowację Wschodnią i Zachodnią oraz Czechy i Morawy.

Przekształcenia te mają charakter wyraźnie taktyczny, a stwarzają dogodne pole do wtrącania się możnego protektora, który czuwa, by na kontrolowanym przezeń obszarze nie wylęgły się przypadkiem jakieś pomysły zjednoczeniowe czy federacyjne na szerszą skalę.

SKUTKI I WIDOKI PROCESU

Tak więc, streszczając te wywody, stwierdzić należy, iż ostatnie półtora roku wojny doprowadziło do stworzenia w Europie Środkowo-Wschodniej, pomiędzy właściwym Związkiem Sowieckim a byłą Rzeszą Niemiecką, pasa dziesięciu państw przechodzących proces sowietyzacji, jeżeli tak można powiedzieć "galopującej". Polega on na wprowadzeniu systemu politycznego, w którym partia komunistyczna, monopolizując konsekwentnie i bezwzględnie władzę dla siebie, może się w bardzo niedługim czasie stać monopartią.

W dziedzinie społecznej państwa te upodabniają się do ustroju sowieckiego tak zresztą jak i pod względem gospodarczym, przy czym gospodarstwa wszystkich tych państw podlegają daleko idącemu podporządkowaniu i złączeniu z gospodarką Z.S.R.R. Tak polityka zagraniczna jak wojskowa wszystkich tych państw jest tylko częścią polityki rosyjskiej.

W niedługim czasie ujrzymy w jaki sposób i w jakim stopniu przemiany, które zaszły w ostatnich tygodniach w światowym układzie sił odbiją się na obecnym położeniu krajów międzymorza bałtycko - czarnomorsko - adriatyckiego.

Dotychczas byliśmy jedynie świadkami "uchylania" żelaznej kurtyny. Lecz jeżeli Europa ma odzyskać jakąś rozsądną równowagę, kurtyna ta musi być usunięta w całości.

Chwila ta jest już, być może, niedaleka.

M. K. DZIEWANOWSKI

Przegląd tygodniowy

SZEŚĆ LAT I JEDEN DZIEŃ

Wojna światowa, także i formalnie dobiegła końca. Stało się to na pokładzie pancernika "Missouri", gdzie podpisano akt kapitulacji Japonii. Zaczęta 1 września 1939 Druga Wojna Światowa zakończyła się niemal co do godziny w sześć lat i jeden dzień później — 2 września 1945.

Dziwnie głucho jednak było przy tej okazji o rocznicy 1 września. Cała prasa brytyjska oświadczyła, że wojna trwała sześć lat — bez jednego dnia, ponieważ zaczęła się 3 września, t.j. w dniu wypowiedzenia jej przez Wielką Brytanię.

Dyskusja na temat, kiedy wojna się zaczęła — powtarzała się niemal każdego września. Ale tego roku nie było nawet dyskusji. I w tej dziedzinie obserwujemy paradoksalny, smutny objaw pogrobowego zwycięstwa tez niemieckich. To przecież Niemcy zawsze twierdzili, że wojna zaczęła się nie 1 września, lecz 3 września. Było im dogodnie twierdzić, że zaczęła się nie od ich napaści na Polskę, lecz od brytyjskiego wypowiedzenia wojny. W ten sposób "udowadniali", że to nie oni, lecz Wielka Brytania ponosi odpowiedzialność za wojnę.

Głoszenie, że wojna zaczęła się 3 września jest niebezpieczne również z punktu widzenia przyszłości pokoju. Oznacza to bowiem uznanie, że wojna lokalna wywołana przez napaść wielkiego mocarstwa na słabszego sąsiada, nie musi automatycznie przekształcić się w wojnę światową. I że za początek wojny światowej trzeba brać datę, od której w wojnie były dwa mocarstwa lub więcej. Przekreślenie daty 1 września jest zachętą dla przyszłych agresorów.

Powodów przemilczania rocznicy 1 września zapewne szukać należy w fakcie, że nie jest pożądane, by narody świata przypominały sobie okoliczności i przyczyny wybuchu wojny. By uświadomiły sobie, że ta wojna zaczęła się w obronie niepodległości i całości Polski, zagwarantowanej przez Wielką Brytanię.

Albowiem można jeszcze — nie bez trudu — tłumaczyć, że wygrana została wojna zaczęta 3 września. Natomiast niepodobna nikogo przekonać, że wygrana została wojna, zaczęta 1 września . . .

Z okazji zakończenia wojny prez. Truman wygłosił mowę, w której oświadczył m.in.: "Duch wolności dał nam naszą zbrojną siłę i uczynił naszych żołnierzy niezwyciężonymi w walce. Wiemy dziś, że ten duch wolności, swoboda jednostki i osobista godność człowieka stanowią największą, najpotężniejszą i najtwalszą siłę w całym świecie". Słuszne to słowa i wierzymy, że owe potężne siły zatriumfują kiedyś i na naszej ziemi. Ale póki to nie nastąpiło, nie możemy niestety stwierdzić wraz z prezydentem Stanów Zjednoczonych, że "wolność odniosła zwycięstwo nad tyranią". Wolność, o którą zaczęliśmy wojnę 1 września 1939, nie odniosła jeszcze zwycięstwa . . .

O "OSWOBODZENIE OSWOBODZONYCH"

Problem, wobec którego stanął świat po zakończeniu wojny, albo przynajmniej jeden z najważniejszych problemów został trafnie określony przez tygodnik *"Time and Tide"* jako *"liberation from liberation"*. Chodzi po prostu o to, by narody "oswobodzone" od niemieckiego jarzma zostały naprawdę oswobodzone.

Przed tygodniem notowaliśmy pierwszy sukces w tej dziedzinie w postaci odroczenia wyborów bułgarskich, podkreślając, że muszą za nim pójść dalsze, jeżeli ma on mieć znaczenie. Oczywiście proces obalania ustrojów totalno-komunistycznych i zastępowania ich demokratycznymi nie może być łatwy, ani szybki. W ostatnim tygodniu mogliśmy już zaobserwować mobilizację wszystkich sił antydemokratycznych do walki o utrzymanie obecnego stanu rzeczy. Jednocześnie jednak zmiana stanowiska St. Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii niewątpliwie zachęciła elementy demokratyczne do bardziej energicznej akcji na rzecz wolnych wyborów i obalenia dyktatury małej mniejszości, sprawującej dziś władzę.

Wzmożenie napięć politycznych obserwujemy w różnych krajach Europy środkowo-wschodniej, w miarę jak zbliżają się wybory. W tym roku mają odbyć się wybory na Węgrzech /w październiku/, w Jugosławii /w listopadzie/ i ewentualnie w Bułgarii, aczkolwiek nowy termin nie został wyznaczony. Na początku przyszłego roku powinny odbyć się wybory w Polsce.

W Bułgarii obie strony wzmagają swe wysiłki. Partie demokratyczne, jak agrariusze i socjaldemokraci wypowiedzieli walkę "frontowi ojczyźnianemu" i usiłują oczyścić swe organizacje z elementów komunistycznych, które je opanowały, po prostu przez stworzenie nowych partii.

Podobnie zresztą dzieje się w Polsce, gdzie odrodziła się tymczasem jedna autentyczna partia, a mianowicie Stronnictwo Ludowe. Do tej pory w Polsce istniały same stronnictwa fikcyjne, a więc fałszywe Stronnictwo Ludowe czy fałszywa P.P.S. /O tym, że społeczeństwo doskonale zdaje sobie z tego sprawę, iż poza ukradzioną nazwą partie te nie mają nic wspólnego z autentycznymi, świadczy dowcip warszawski głoszący, że P.P.S. znaczy: Polska Partia . . . Sowiecka, podczas gdy P.P.R. oznacza skrót od: Polska Partia . . . Radziecka/. Teraz pod przewodnictwem Witosa odtworzyło się — jako nowa partia — prawdziwe Stronnictwo Ludowe.

Również na Węgrzech partia chłopska, t.zw. partia drobnych właścicieli ziemskich, zaczyna działać nieco śmielej.

Z drugiej strony — jeśli chodzi o kontrakcję komunistów i ich protektorów — mamy do zanotowania również szereg ważnych posunięć.

W Bułgarii prowadzona jest wytężona kampania w obronie "frontu ojczyźnianego" i nic tymczasem nie wskazuje, by wymuszona zgoda na odłożenie wyborów oznaczała wstęp do oddania decyzji co do rządu w ręce mas, które wypowiedziałyby się w wolnych wyborach.

W Rumunii gdzie rząd Grozy nadal nie chce ustąpić, nagle "odkryto" spisek, co dało pretekst do aresztowania jednego z przywódców socjalistycznych i wielu działaczy chłopskich. Poza tym, dla zastraszenia króla Michała, który zdobył się na odwagę odwołania się do mocarstw, aby dopomogły mu do obalenia rządu Grozy, i utworzenia rządu bardziej reprezentatywnego, przypomniano sobie o ex-królu Karolu: odebrał on już raz tron swemu synowi i byłby gotów to powtórzyć.

Wzmogła się jednocześnie kampania przeciw rządowi greckiemu, a przywódca komunistów greckich, korzystając ze swobody, która istnieje w Grecji, wygłasza podburzające mowy. Gdyby w którymkolwiek z krajów strefy sowieckiej ktoś wygłosił jedną dziesiątą tych krytyk rządu, jakie dzień po dniu wypowiada Zachariades, natychmiast zniknąłby w więzieniu!

W Polsce przeciwdziałanie komunistyczne wyraża się w kampanii przeciw przywódcom stronnictwa ludowego, będącego jedynym autentycznym stronnictwem, mogącym w ogóle działać. Przywódcy innych stronnictw siedzą przeważnie w więzieniu, więc nie ma potrzeby rozwijać akcji przeciw nim.

Wreszcie zanotować należy wzmożoną kampanię propagandową radia i prasy sowieckiej przeciw polityce anglo-amerykańskiej, zwłaszcza na Bałkanach.

Wszystko to dowodzi, że Sowiety nie zamierzają łatwo wyrzec się swego panowania nad całą Europą środkowo-wschodnią.

SUKCESY DEMOKRACJI

Niemniej jednak każdy uważny obserwator wydarzeń w świecie musi stwierdzić jedno znamienne zjawisko: oto coraz to w innym miejscu demokracja wypiera totalizm. Nikną ustroje monopartyjne, zanikają resztki faszyzmu, a jednocześnie cofa się fala komunizmu, która niedawno groziła zalaniem Europy, również i tej poza strefą sowiecką.

Tak więc można zanotować dalsze postępy demokratyzacji Chin i zapowiedzi zniesienia monopolu politycznego Kuomintangu; zapowiedziane jest dopuszczenie do stworzenia partii opozycyjnej w Turcji, gdzie do tej pory istniała tylko jedna partia; w Hiszpanii dni reżymu gen. Franco wydają się policzone; w Brazylii dyktator Vargas zdecydował przeprowadzić wolne wybory; wreszcie w Argentynie wzmaga się nacisk na rząd i chyba również wolne wybory nie są bardzo odległe.

Trudno sobie wyobrazić, by możliwe było zatrzymanie tego procesu demokratyzacji na jakiejś sztucznej linii przeprowadzonej poprzez Europę. Świat jest jeden i nie można podzielić go na dwie części. Nie może on być w połowie demokratyczny i w połowie totalitarny. Na krótko przed wojną domową w Ameryce Abraham Lincoln powiedział: "Dom rozbity na pół nie może się utrzymać. Jestem przekonany, że nasz rząd nie może trwać wiecznie w połowie niewolniczy, a w połowie wolny. Nie sądzę, by dom runął, ale sądzę, że przestanie być rozdzielony. Albo cały będzie wolny, albo cały niewolniczy". Nigdy słowa te nie były bardziej prawdziwe, niż dziś — w odniesieniu do całego świata.

SOCJALIŚCI I KOMUNIŚCI

Groźba, że jedność świata, a przynajmniej Europy zapewniona zostanie nie przez triumf demokracji, lecz przez triumf totalizmu i komunizmu była jeszcze względnie niedawno bardzo poważna. Komunizm wydawał się bliski triumfu w szeregu krajów europejskich z Francją i Włochami na czele. Dziś jednak niebezpieczeństwo bardzo się zmniejszyło.

Komuniści dążyli wszędzie do połączenia się z partiami socjalistycznymi, tak aby je opanować i zlikwidować wpływy Drugiej Międzynarodówki, stojącej zdecydowanie na płaszczyźnie demokratycznej. Ale próby te nie dały wyniku. Jedna po drugiej partie socjalistyczne Europy zachodniej odrzucały propozycje połączenia się z komunistami.

Najbardziej decydujące znaczenie miała postawa socjalistów francuskich, którzy postawili komunistom trzy warunki, wszystkie jednakowo niemożliwe do wykonania przez komunistów, a mianowicie: 1. Porzucenie przez komunistów zasady, że cel uświęca środki; 2. Uznanie swobód demokratycznych w kraju i zasad demokracji w stosunkach międzynarodowych, t.j. przekreślenia przywilejów wielkich mocarstw; 3. Zerwanie zależności komunistów od obcego mocarstwa.

Upadły również projekty fuzji w Danii i Norwegii. Co jeszcze bardziej znamienne, komuniści nie weszli do hiszpańskiego rządu na wygnaniu , utworzonego w Meksyku, w którym socjaliści odgrywają główną rolę.

Nie ulega wątpliwości, że zwycięstwo *Labour Party* w Anglii stworzyło nowy ośrodek, ku któremu ciąża socjaliści i w ogóle partie lewicowe Europy i który skuteczniej, niż Anglia konserwatywna, rywalizuje o wpływy w Europie.

BLOK ZACHODNI?

W związku z tą przemianą odżyły znowu projekty bloku zachodniego. Idea ta jest, jak się zdaje, żywo dyskutowana we Francji. Ma ona też wielu zwolenników w Anglii. Kilku posłów, zresztą konserwatystów, wypowiedziało się za blokiem zachodnio-europejskich demokracji w ostatniej debacie w Izbie Gmin. Ideę tę popiera też część prasy.

Nie wydaje się jednak, by miała ona dziś większe szanse urzeczywistnienia, aniżeli przed kilku miesiącami. Odnosi się do niej wrogo Rosja, która uważa, że jej wolno tworzyć blok wschodni, ale innym nie wolno przeciwstawić mu bloku zachodniego. Niechętnie ustosunkowuje się do niej również Ameryka, która obawia się, że ściślejsza współpraca krajów zachodniej Europy w dziedzinie gospodarczej odbiłaby się ujemnie na eksporcie amerykańskim. Gen. de Gaulle nie wydaje się też być entuzjastą bloku zachodniego. W samej Wielkiej Brytanii wielu polityków zdaje sobie sprawę, że tworzenie konkurencyjnych bloków nie zapewni pokoju w Europie.

Nic nie byłoby bardziej fałszywe, niż głosić, że skoro istnieje blok wschodni stworzony przez Sowiety to trzeba mu przeciwstawić blok zachodni i odrazu powstanie równowaga. Nie konkurencyjny blok zachodni, lecz zlikwidowanie wszelkich bloków przez przywrócenie wolności i demokracji w całej Europie, która nie kończy się na Renie lub Wezerze, lecz na granicy polsko-rosyjskiej — oto jedyna droga do trwałego pokoju i zapewnienia, że wojna, która trwała sześć lat i jeden dzień nie tylko została zakończona, ale naprawdę wygrana.

Londyn, 2 września 1945

ALEKSANDER BORAY

Wojna na morzu

U.S.S. "MISSOURI"

Najprzód wdał się tajfun i odsunął datę kapitulacji, jakby na dowód, że na morzu rządzi Bóg i wszelkie rachuby ludzkie zawodzą.

Potem były jeszcze "uzgadniania" — kto, gdzie, kiedy i jak. Czy MacArthur, czy Nimitz czy Fraser, czy Mountbatten. Stanęło na tym, że wszyscy. I koniec końcem marynarka znów znalazła się na zaszczytnym miejscu, bo kapitulację Japonii podpisano na pokładzie admiralskiego pancernika — U.S.S. "Missouri" — olbrzyma o 45.000 tonach wyporności. MacArthur reprezentował sprzymierzone siły zbrojne, Nimitz — Amerykę, Fraser — Wielką Brytanię. Mountbatten uniezależniony został w Burmie i Malaji.

Mountbatten — admirał o wspaniałym rekordzie wojennym, o talentach, które uczyniły go sławnym nie tylko na morzu, ale i na lądzie /kampania w Burmie/ — dodał do swoich wawrzynów jeszcze jeden: powrót do Singapore.

Ale na tym nie koniec. Floty Sprzymierzone długo działać będą musiały na wodach świata — aby usunąć przeróżne niebezpieczeństwa, z obawą wybuchu nowej wojny włącznie. Przed kilku dniami Amerykanie stracili jeszcze okręt podwodny.

TAJNE BRONIE

Z każdą chwilą wychodzą na jaw nowe sekrety techniki wojennej. Ale nie ma takiej broni, która nie zrodziłaby prędzej lub później tarczy. Marynarka amerykańska, przez usta jednego ze swych admirałów, oświadczyła już, iż posiada możność przeciwdziałania bombie atomowej, zarówno w powietrzu /dalokierowane miniaturowe samoloty bez obsługi/, jak i na lądzie czy na okrętach /działa przeciwlotnicze o pociskach radarowych dużego zasięgu/.

Nie jest to oczywiście doskonały system obrony — ale w każdym razie już coś poważnego. Nie ulega wątpliwości, że istnieć będzie także inny typ obrony /promieniowy — teleelektryczny/, mogący bądź zniszczyć bombę przed właściwym wybuchem, bądź zmienić kierunek jej lotu.

MINIATURY WYGRAĆ NIE MOGĄ

Teraz dopiero okazuje się, że Niemcy posiadali specjalną miniaturową marynarkę, t.zw. K.D.K. /Kommando des Kleinkampf Verbands/, z personelem 30.000 ludzi. K.D.K. rozporządzało 300 ścigaczami-branderami, z których część była dalokierowana teleelektrycznie, 500 miniaturowymi łodziami podwodnymi i 200 żywymi torpedami. Całością dowodził wice-admirał Heye.

Zadaniem tych zespołów było przeciwdziałanie inwazji u brzegów Francji, Belgii i Holandii, a także na Morzu Śródziemnym. Admirał Heye liczył, że uda mu się zupełnie sparaliżować komunikacje morskie przeciwnika.

Ta nadzieja zawiodła. Okazało się, że miniaturami nie można wygrać prawdziwej wojny przeciwko prawdziwej flocie. Są one dobre tam, gdzie również istnieje flota i gdzie stanowić mogą cenny do niej dodatek. Same przez się rozstrzygnąć nie mogą.

Rezultatem działalności K.D.K. było zatopienie około tuzina statków i okrętów przeciwnika, podczas gdy straty własne były bardzo wysokie. Samych miniaturowych łodzi podwodnych zginęło około setki. 24 osiadło na mieliznach ujścia Skałdy. Żywe torpedy też niewiele wskórały. A dalokierowane ścigacze okazały się mało skuteczne.

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

W ostatnich czasach /już po zakończeniu wojny/ cztery okręty R.P. zniszczyły około pół setki dryfujących min. Rzecz na pozór drobna, a jednak każda z tych min mogła wywołać zatopienie okrętu lub statku, ze stratą ludzi, sprzętu lub ładunku.

"Conrad", "Piorun", "Garland", "Krakowiak", "Ślązak" — a ostatnio i "Błyskawica" — pływają po wodach Europy, pilnując, aby Niemcy wypełniali ściśle warunki zawieszenia broni.

W regatach wiosłowych "Home Fleet" łódź z O.R.P. "Conrad" z obsadą załogi maszynowej, zdobyła pierwsze miejsce na 9 łodzi. W żaglowych łódź "Conrada" zajęła trzecie miejsce na 13 łodzi. W regatach wiosłowych w Tobermory łódź O.R.P. "Błyskawica" zajęła pierwsze miejsce.

"DZIK" I "UNSHAKEN"

Okręt podwodny J. Kr. Mości "Unshaken" należał do najsłynniejszych w tej wojnie. Jego działalność na Morzu Śródziemnym jest szeroko znana. Mało kto jednak wie, że "Unshaken" uratowany został od zguby przez okręt podwodny Rzeczypospolitej Polskiej — "Dzik". Dziś dopiero ujawnione być mogą szczegóły.

19 lipca 1943 roku "Dzik" powracał na Maltę z patrolu w Zatoce Taranto. Był to okres intensywnych operacyj związanych z inwazją Sycylii, okres niezmiernie trudny i niebezpieczny. Dość zaznaczyć, że w patrolu tym "Dzik" przebył w morzu 400 godzin z czego 275 pod wodą i że kilkakrotnie był atakowany przez nieprzyjaciela.

"Dzik" i "Unshaken" szły na powierzchni ku Malcie w odległości około 3000 metrów jeden od drugiego. Była godzina 6.20 rano, gdy nagle st. mar. Rowiński, pełniący służbę sygnalisty na pomoście, zauważył coś podejrzanego z lewej burty.

—Peryskop, lewo 40, tysiąc yardów!

Dowódca okrętu polskiego winien był raczej, w myśl przepisów, zanurzyć się naychmiast, aby uniknąć niebezpieczeństwa. Nie ulegało jednak wątpliwości, że niemiecki okręt podwodny atakuje "Unshaken", nie zauważywszy "Dzika". Również "Unshaken" snadź nie zauważył peryskopu. Gdyby "Dzik" zanurzył się "Unshaken" byłby stracony.

Dowódca "Dzika" nie wahał się ani chwili. Zmienił kurs, zaatakował zanurzonego Niemca. Oto jego własne słowa: "Strzeliłem 4 torpedy w odstępie 3 sekund. Gdy druga torpeda opuszczała aparat — peryskop znikł. Wszystkie torpedy chybiły — co w tych warunkach było do przewidzenia. Wówczas dałem komendę — "cała naprzód", chcąc staranować nieprzyjaciela. Ale ten natychmiast salwował się ucieczką na wielką głębokość. Cała akcja trwała 40 sekund, co daje dowód nadzwyczajnej sprawności załogi".

Atak "Dzika" nie udał się, ale dzięki niemu "Unshaken" ocalał. Załogi obu okrętów podwodnych uczciły ten fakt po przybyciu do portu — i dziś łączy je nić serdecznej przyjaźni.

JULIAN GINSBERT

Co to jest W. Brytania?*

POLAK WOBEC DZISIEJSZEJ RZECZYWISTOŚCI BRYTYJSKIEJ

Nie jest to łatwo pisać w kilkudziesięciu zdaniach o przedmiocie tak rozległym. Nie jest to łatwo pisać o W. Brytanii w chwili, gdy niewielu Polaków ma ochotę i wolę zajmowania się czymś innym, niż własnym losem — i nie można się temu dziwić, skoro własny los obchodzi każdego najwięcej i skoro los polski jest szczególnie trudny, ciężki, bolesny. Tak trudny i ciężki, że rozważanie go może łatwo odebrać każdemu ochotę do myślenia o czymkolwiek innym. Jest doprawdy o czym myśleć, gdy się jest dzisiaj Polakiem!

A jednak jakiekolwiek mogą być uczucia i odruchy dnia dzisiejszego, jakiekolwiek reakcje dzisiaj, jakkolwiek usprawiedliwiona byłaby niecierpliwość, zawód, rozgoryczenie — pozostają takie oto bezsporne fakty:

W. Brytania jest jedynym dzisiaj w Europie czynnikiem siły i ładu zarazem;

Czynnik ten musi mieć baczenie na całość kontynentu europejskiego, jeżeli W. Brytania ma zachować swoje stanowisko mocarstwa; musi zatem patrzeć ku wschodniej Europie a zatem i nie powinna pozostać obojętna na dolę i rozwój Polski.

Polska może zyskać wiele na utrzymaniu i pogłębieniu swoich stosunków z Anglią; zrzeczenie się przez Polskę więzów łączących ją z Zachodem — reprezentowanym dzisiaj głównie przez Anglię — jest równoznaczne z wypadnięciem Polski raz na zawsze z kręgu kultury europejskiej.

I z tych właśnie powodów winniśmy zrobić wszystko, by przezwyciężyć rozgoryczenie i rozczarowanie i starać się spojrzeć okiem trzeźwym i rzeczowo na Anglię, bez popadania w taką czy inną przesadę. Wszelkie idealizowanie — tak znamienne dla pewnego typu Polaków, gdy mówią o zagranicy — jest nie na miejscu. Ale równie niewłaściwe — albowiem szkodliwe i zgubne dla końcowych wniosków — byłoby takie czy inne niedocenianie, lekceważenie lub kierowanie się odruchami uczucia.

W. BRYTANIA W OSTATNIEJ WOJNIE

Cokolwiek bowiem powiemy o tych czy tamtych stronach polityki angielskiej, pozostaje faktem, że Anglia wyszła z tej wojny militarnie zwycięsko, wykazując odwagę i rozwagę: dwie cnoty wysokiej próby. Wyczekała ona mądrze na wejście do gry dwu potęg: Rosji i Stanów Zjed., bez których zwycięstwo nad Niemcami byłoby niemożliwością. W. Brytania nie mogła w żaden sposób wygrać sama wojny z Rzeszą; nie mogła pokonać Niemiec w oparciu o całą nawet koalicję państw Europy. Tak jak Napoleona złamała Anglia przez zmontowanie koalicji państw Europy i przez cierpliwe szarpanie go przez długie lata, tak Hitlera rozbiła przez stworzenie koalicji światowej i przez mozolną walkę sześciu prawie lat. Zasada pozostała ta sama, tylko skala zmagań i pogotowia wzrosła niepomiernie.

Anglia grała w tej wojnie tak jak wymagał jej interes. Nie znaczy to, ażeby wojna wypadła tak jak sobie tego Anglia życzyła. Napewno w pragnieniach W. Brytanii było stworzenie zorganizowanej Europy, była istotnie niepodległa Europa wschodnia i południowo-wschodnia, napewno życzyła sobie ona załatwienia granic europejskich w sposób rozsądny, na zasadzie dobrowolnej ugody krajów, przy stole konferencyjnym. Napewno Anglia chciałaby, aby Europa powojenna była otwarta dla handlu i wymiany towarów, aby była rynkiem zbytu dla przemysłu brytyjskiego, który musi po wojnie produkować i więcej i taniej, aniżeli przed wojną. Dla W. Brytanii, zagrożonej konkurencją handlową Stanów Zjed., zagadnienie eksportu do Europy staje się rzeczą niezmiernej wagi. Fakt, że nie cała Europa będzie terenem wymiany jest dla Anglii groźny.

Polityczne następstwa są jeszcze groźniejsze. Wiemy, że zasadą polityki angielskiej było zawsze niedopuszczenie do rozrostu na kontynencie Europy jednego mocarstwa. Ta zasada nie przestała działać, albowiem nie należy ona do polityki, ale do bardziej niezmiennej wiedzy, jaką jest — geografia. I dlatego można powiedzieć spokojnie, że Anglia bynajmniej nie uważa stanu zakończenia wojny za stan idealny. Ale stara się wytłomaczyć sobie, że może nie być tak źle, jak się to dzisiaj przypuszcza.

WOBEC POKOJU

Nie znaczy to, ażeby szerokie rzesze W. Brytanii nie zdawały sobie sprawy z powagi czasów, które idą. Niedawno ogłoszono dane zebrane przez organizację zwaną *"Mass Observation"*, której zadaniem jest śledzenie i badanie nastrojów społeczeństwa. Wyniki badań *"Mass Observation"* na temat nastrojów ogółu brytyjskiego w dobie bezpośrednio po zakończeniu wojny potwierdzają wnioski wysnute jeszcze na schyłku wojny: zakończenie wojny przyniosło uczucie ulgi, ale nie szczerej i rzetelnej radości. Wynika to z przekonania, że wojna nie skończyła się takim układem, o jakim myślano, z przeświadczenia, że spustoszyła ona zbyt silnie, że nie przyniosła zwycięstwa haseł wywieszonych na wstępie zmagań. Poczucie niepewności, jakie cechuje dobę bezpośrednio po wojnie, rodzi się z przekonania, że Anglię czekają olbrzymie trudności, może większe niż w okresie samych walk, że świat jaki otworzy się przed Anglią będzie nowy, zniszczony, czasami nawet W. Brytanii i jej sposobowi życia — obcy, niechętny, może i wrogi.

W. Brytania zdaje sobie sprawę, że w ogromie spustoszenia, jakie spadło na Europę, ona jedna — obok państw neutralnych — zachowała wiązania ładu i prawa, ona jedna zachowała jedność tradycji, ciągłość życia i przemiany form społecznych. W innych krajach przeoranych wojną więź społeczna została zerwana, społeczeństwa popadły w biedę, przeszły rewolucyjne przemiany. Anglia przez fakt, że wojna nie dotknęła jej "z ziemi", lecz tylko "z powietrza" — uskoczyła od katastrofy. Los okazał się dla niej znowu łaskawy, tak jak był w okresie wojen napoleońskich, idących przez całą Europę.

Wydaje się, że są kraje obdarzone łutem szczęścia i łutem "pecha" — tak jak są ludzie obdarzeni w ten właśnie sposób. W. Brytania należy niewątpliwie do tych pierwszych /można by dodać, że Polska należy niewątpliwie do tych drugich/. Więcej: nawet porażki potrafi ona przerobić na triumf, nawet z klęsk wydobywa siłę.

Na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku W. Brytania wplątuje się w wojnę z Boerami, osadnikami holenderskimi Afryki Płd. Wynikiem tej wojny jest stworzenie Unii Południowo-Afrykańskiej i zyskanie wiecznego Dominium, które w tej wojnie i poprzedniej okazało się cennym wkładem do siły Imperium Brytyjskiego — czy jak się dzisiaj przeważnie mówi — *British Commonwealth of Nations.*

JAK POWSTAŁO IMPERIUM?

Ta Brytyjska Wspólnota Narodów jest szczytnym tworem myśli politycznej, zapobiegliwości handlowej i zmysłu organizacyjnego rasy brytyjskiej. Niewielki naród na wyspach brytyjskich osiadły */British Isles/* nie idzie — jak inne narody — na podboje na kontynencie i wyniszczające wojny z sąsiadami przez kanał la Manche. Anglia stosunkowo wcześnie "odwołuje" te wojny z Francją — z którą walczyła przez parę wieków — potem z Hiszpanią. Anglia zrozumiała, że wojny na kontynencie są zbyt kosztowne, jeżeli chodzi o krew i że nie przynoszą odpowiednich korzyści — albowiem Europa jest za ciasna na trwałe podboje. Zwróciła zatem swój wzrok ku dalekim lądom, gdzie istniały szanse dla inicjatywy ludzkiej.

"Prywatna inicjatywa" stworzyła Imperium Brytyjskie — nie "urzędowa inicjatywa" czy królewskie wyprawy. Jednostki rzuciły się na odkrywanie lądów i wysp, przedsiębiorstwa i kompanie prywatne otworzyły drogę podbojom. Powstały stacje handlowe w Afryce i Indiach — a potem dla ochrony tych stacji zjawił się żołnierz angielski.

Podboje te były tanie, jeżeli chodzi o krew, opanowanie terenu okazało się nietrudne, jeżeli nie stosowało się polityki przemocy, tak stacje i posiadłości łączyły się i wiązały, aż urosły w łańcuch potężny i elastyczny — w największy twór organizacji i swobody, jaki znają dzieje ludzkości: *"British Empire"*.

OSOBLIWOŚCI TEGO TWORU

Ta przypadkowa konstrukcja, ta budowa nieplanowa, jakby od niechcenia, ten narastający gmach stoi dzisiaj przed naszymi oczyma jako imponujący twór. Jest on tworem niejednolitym, albowiem obok Dominiów — pełnoletnich państw — są państwa niepełnoletnie, jak Indie, będące na drodze do usamodzielnienia się i są kolonie, jak Afryka Zachodnia, których droga do samodzielności będzie długa. Są Dominia i *"Crown Colonies"* — kolonie korony brytyjskiej, która nakrywa tę całą budowlę, jako symbol jedności. Sami Anglicy nie zdają sobie często sprawy z różnolitości konstrucji, z rozmaitości form i z nieprzebranego bogactwa swego Imperium.

Jest to rodzina osobliwa, to Imperium Brytyjskie wszelkich ras i kolorów skóry, wyznań i religii. Trzymane jest niewielką stawką administracji brytyjskiej, która często pozostaje za kulisami i działa z ukrycia. Ale jest ona wszędzie — czujna, bystra, energiczna, sprawna, lecz nie przemęczająca siebie nadmiarem papierków i biurokracji. Polega na przedsiębiorczości jednostek; odpowiedzialność i decyzja jednostki znaczy bardzo wiele w warunkach, w których urzędnik musi być administratorem, sędzią i opiekunem ludności tubylczej.

Urzędnik ten czy wojskowy, oficer garnizonu — zachowuje obyczaj angielski wszędzie gdzie zawiedzie go rozkaz i los. Wnętrze angielskie, styl mebli, obyczaj kuchni i napitków, cała forma życia przeniesiona jest żywcem w pustkowie — wraz z polami golfowymi, tenisem, klubami. Anglik pozostaje wierny swej ojczyźnie: ona jest jego podporą wśród obcych cywilizacji.

ANGLIK I NIEMIEC

To przywiązanie do własnej tradycji, ta wierność własnej rasie i odsunięcie się od otoczenia przyczyniło się częściowo do tego, że Anglicy zachowali swoje Imperium, podczas gdy Hiszpania, Portugalia, Holandia /częściowo/ straciły swoje. Geniusz kolonialny Anglików wyraził się w opanowaniu swoich apetytów, w unikaniu przemocy i używaniu siły tam tylko, gdzie jest ona potrzebna. Anglicy nauczyli się lawirować wśród przebiegłych ludów Wschodu, nauczyli się sztuki rządzenia, nauczyli się sztuki milczenia i szybkiej decyzji. Anglik nauczył się wiele, ale i przyniósł wiele. Jest on bowiem urodzonym władcą, jest niewątpliwym synem "Herrenvolku", któremu Niemiec zazdrości opanowania, pańskości, spokoju.

Ale Niemiec nie chce zrozumieć, że te właściwości Anglika wypływają nie tylko z jego dumy, przekonania o jedyności jego rasy, ale głównie z opanowania swoich własnych instynktów, trzymania na wodzy namiętności. Anglik potrafi rządzić innymi, albowiem rządzenie nie jest dla niego równoznaczne z uciskiem. Niemiec cierpi na całkowite zakłócenie równowagi między sferą uczucia i odruchów a dziedziną mózgu, umysłu. Stąd jego wysoce wyszkolony umysł staje się pastwą najbardziej prymitywnych odruchów, stąd wiedza służyła Rzeszy Hitlera do wzbogacenia arsenału ludzkiego sadyzmu i zezwierzęcenia.

Niemiec jest całkowicie niewychowany w sferze uczucia, uczucia Anglika są wychowane, kultywowane jak ogród. Anglik wychodzi z założenia, że człowiek jest przede wszystkim tworem zwierzęcym i że trzeba go trenować jak konia, tylko kultura uczuć daje rasę. Wychowanie angielskie kładzie nacisk na charakter, na zachowanie człowieka, na jego reakcje uczuciowe, wychowanie kontynentalne /szczególnie zaś niemieckie/ na wbijanie największej sumy wiadomości w głowy uczni.

Anglik stara się stworzyć harmonię między życiem uczucia i myśli, często kosztem zahamowania uczucia. W każdym razie ta szkoła angielska zdała próbę w tej wojnie raz jeszcze: hart całego społeczeństwa wykazany został zarówno w okresie lotniczego "blitzu", jak i w mobilizacji kobiet i mężczyzn do służby wojskowej. Anglia okazała się społeczeństwem fizycznie i moralnie zdrowym. Podczas gdy w innych społeczeństwach na Zachodzie już przed wojną były niepokojące załamania, pogłębione jeszcze latami okupacji niemieckiej, ogół angielski wykazał jedność w dobie wojny, poszedł na śmiałe reformy społeczne i będzie starał się rozwiązywać swoje trudności według własnych przepisów i recept.

INNOŚĆ ANGLII

Albowiem Anglia jest inna: odmienny jest jej sposób patrzenia na rzeczy, odmienny styl życia, inaczej też ułożyła sobie życie polityczne. Angielski socjalizm n.p. nie jest podobny do kontynentalnego doktrynerstwa; rzeczą znamienną, że ośrodkiem myślowym socjalizmu angielskiego było t.zw. *Fabian Society*, które wzięło swą nazwę od rzymskiego Fabiusza Cunctatora — uważało ono zatem, że drogą celowych przemian a nie drogą gwałtownych rewolucji, dojdzie się do polepszenia bytu mas i do sprawiedliwszego podziału dóbr.

Demokracja angielska jest inna, niż formy znane nam z kontynentu. Jest to demokracja odmienna od n.p. szwajcarskiej, która jest osadzona na dużej równości dochodów, inna od chłopskiej demokracji Findlandii czy bardziej "burżuazyjnej" demokracji Szwecji. Demokracja angielska jest z zasady swojej arystokratyczna, nie tylko uznaje warstwy górne, ale je stale zasila i rozdaje rokrocznie setki tytułów. Zasługa i zdolności dają w Anglii wstęp do klasy utytułowanej, klasa ta stale rośnie i zasila się warstwami t.zw. niższymi. Dostęp do nauki stał się w W. Brytanii o wiele bardziej powszechny, niż przed pierwszą wojną światową, ale wszechnice takie, jak Oxford i Cambridge dalej zachowują swoje uprzywilejowane stanowisko.

Przez nie to — a poprzednio przez szkoły w Eton i Harrow — przechodzi elita angielska: to są szkoły, z których rekrutują się przyszli władcy Anglii. Nie znaczy to, aby te kanały nie miały zostać poszerzone, życie rozszerza te, by tak rzec, przepusty władzy. Ale pozostaje ta sama zasada, że przyszłych władców trzeba kształcić w warunkach prostych i surowych /Eton i Harrow i wszystkie inne szkoły są spartańsko proste/, że trzeba ich chować i szkolić w dyscyplinie. Anglia trenuje swoją warstwę rządzącą, jak konie wyścigowe, jak rasowe zwierzęta, i zasada ta dotychczas opłacała się.

OBSERWOWAĆ — NIE UOGÓLNIAĆ

W tych kilkudziesięciu zdaniach zaznaczyłem grubymi liniami parę zasadniczych cech tego osobliwego, dumnego i optymistycznego narodu, który zwie się Anglią. Przyglądajcie się jej pilnie! — oto ostatnie wezwanie. Nie uogólniajcie swoich sądów, nie mówcie po kilku tygodniach pobytu w Anglii, że "Anglicy są tacy a tacy" i t.d. Najgorszym wrogiem poznawania ludzi i krajów są uogólnienia, wystrzegajcie się ich w stosunku do kraju tak bogatego w formy, tak ciekawie wkształtowanego, jak Anglia. Albowiem ludzie, którzy znają Anglię od lat raz po raz napotykają na niespodzianki, raz po raz łapią się na tym, że dana reakcja była nieprzewidziana. Anglia nie podaje swoich reakcji "na talerzu", nie wystawia swoich srebr rodzinnych na widok publiczny. Raczej ukrywa swoje cechy, raczej chowa wspaniałość do wnętrza domów.

Tak, w pewnym sensie "wszyscy Anglicy myślą tylko o interesie", uważają bowiem, że suma interesów obywateli jest najlepszym interesem państwa. Anglicy nie zniosą przemocy państwa; dla nich istotą i miarą, jest dalej człowiek, jednostka, naród. Wierzą oni fanatycznie w swobodę życia i myśli, chcą jej dla siebie, życzą jej innym. Jest to naród głęboko liberalny, ale naród bynajmniej nie miękki — przeciwnie twardy, uparty gdy trzeba. Dlatego wygrał wojnę.

ONI I MY

Poznawajcie ten kraj, uczcie się go bez idealizowania, ale i bez lekceważenia. Polak, członek narodu o tysiącletniej tradycji, narodu, który stworzył ongiś naszą Wspólnotę Narodów /Polaków Litwinów, Rusinów/ — nie ma powodu być nadmiernie pokorny wobec struktury Anglii. Ma on podobnie jak Anglik ukochanie wolności. Zbliża go do Anglika zamiłowanie do indywidualności.

Znajdziecie w toku waszych badań cechy wspólne i cechy odmienne. Badajcie je i określajcie uważnie, rzeczowo, bez żółci. A jeżeli u kresu waszych obserwacyj nie zgodzicie się z pewnymi wnioskami autora tych uwag — będzie to dla niego dowodem, że badaliście uczciwie i na własną rękę. Albowiem nie o to chodzi, byśmy się całkowicie godzili i byli jednego zdania. Im większa różnolitość zdań — tym bogatszy obraz, jaki się wyłoni z dyskusji. Ale to jedno jest pewne: Anglię warto poznawać. Dla własnego pożytku i dobra naszego, o tyle mniej szczęśliwego, kraju.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

* Artykuł ten przeznaczony był na wstęp do wydawnictwa dla wojska w W. Brytanii. Wydawnictwo to przyjęło inne formy i dlatego autor pozwala sobie zamieścić ten szkic na łamach "Polski Walczącej".

ROZMOWA Z ŻOŁNIERZEM

"I pocoście się bili?" — potrząsali głową.
A żołnierz odpowiedział: "Bośmy dali słowo.

A jesteśmy z takiego narodu, co słowa —
Choćby zdychał — nie złamie. Zcześnie, a dochowa".

"A o coście się bili?" — A żołnierz powiedział:
"Żeby świat się nauczył, żeby o tym wiedział,

By sobie wspomniał kiedyś — może za lat tysiąc —
Że umiałem dotrzymać, com umiał poprzysiąc".

* * *

I jak tu nam tłumaczyć, co honor kupiecki,
Co kupiecki rozsądek? Co upór "szlachecki",

Gdy lepsza ustępliwość wobec konieczności,
Która słowa przekręca i podpisy mota —

Gdy jesteśmy z narodu, który myśli prościej.
Myśli: Słowo się rzekło — mogiłka u płota.

U nas — słowo się rzekło, już my zniewoleni.
Bo myśmy barbarzyńcy a nie dżentelmeni.

Nie myśmy wynaleźli "gentleman's agreement".
U nas, jedno — rachunek, wiara i sentyment.

I każdy kto się uprze, w pole nas wywiedzie
I zobaczy w nieszczęściu i wyszydzi w biedzie.

* * *

Ha, wywiedli nas w pole, w pole gorzkiej chwały,
A nie wiedzą, że większa dla nich samych strata —

Te ręce, które dla nas mogiły kopały,
Pogrzebały w mogile wszystek honor świata,

Słowo niedotrzymane — strzęp marnego świstka.

Pociecha dla nas — mała. Duma dla nas — wszystka.

MARIAN HEMAR

NOCE BEZ TCHU

Sztuka w czterech aktach
nagrodzona I-ą nagrodą na konkursie ZASP (Gniazdo Londyn)

AKT PIERWSZY

Coś w rodzaju niebieskookiej, jasnowłosej kariatydy, dźwigającej na barach ciężar przymusowego milczenia i spokoju, siedzi na kanapie w środku pokoju, oświetlonego karbidową lampką. Kariatyda dopiero dwa lata temu ukończyła gimnazjum Emilii Plater i nazywa się Urszula Świdrzyńska. Niczym niezmącony spokój tej dziewczyny szczególnie uwypukla powojenny nieład pokoju. Strzałki na zegarze, stojącym na pianinie wskazują kwadrans po ósmej. Jesteśmy w połowie listopada 1939 r. w domu Świdrzyńskich na Żoliborzu.

URSZULA */zwracając się w próżnię, spokojnie, z melodyjną bezdusznością zegarynki/:* Nie wiem jak sobie poradzę z tym *folksdeutschem*, on już mnie chce pocałować! */Milknie, jakby czekając na odpowiedź/.* Dziś o mało nie przelazł przez płot z nadmiaru uczuć. Tak przy tym wyglądał, że . . . Gdybym mogła, walnęłabym go w twarz! Na szczęście stał za daleko. Że też Pan Bóg mógł nas obdarzyć takim sąsiadem! */Przerwa/.* Dawno mówiłam, że drań, nie chciano mi wierzyć. Nie! Cierpisz na szpiegomanię! Zachorowałaś na piąta kolumnę! . . . */Dymek od papierosa, coraz widoczniejszy, wznosi się powoli zza oparcia kanapy/.* Każdy mówił, że sąsiad, jak sąsiad! a to, że się nazywa Krygier, to przecież dużo było dobrych Polaków Krygierów! . . . A teraz zachodzę w głowę co będzie dalej? . . . */Czeka bezskutecznie na odpowiedź./* Co będzie dalej?

GŁOS */zza kanapy/:* Słucham.

URSZULA: Przecież to on napewno podsyła tych szwabów, co się wieczorami szwędają po naszym ogrodzie. Może na razie, żeby mnie nastraszyć. Ale już zaglądają do okien. Jakby coś węszyli.

GŁOS: Może . . . */Zza oparcia ukazuje się czyjaś dłoń, widoczna po przegub./*

URSZULA: Popielniczkę? */Bierze ze stołu popielniczkę i wkłada ją między palce ręki — dłoń znika./* Niekiedy myślę, czy już nie czas nam się przenieść? Jak nas zdekonspirują, zbyt dużo ludzi wpadnie.

GŁOS: Poczekamy jeszcze.

URSZULA: Z drugiej strony, może i prawda . . . Bo jak się przeniesiemy za wcześnie, to tylko wzbudzimy podejrzenia.

GŁOS: Przeniesiemy się na prowincję. */Znowu ukazuje się dłoń z popielniczką./*

URSZULA: Daj! . . . */Zabiera popielniczkę. Zza kanapy wstaje z podłogi wąsaty, o krzaczastych siwych brwiach, niewysokiego wzrostu starszy pan, we flanelowej piżamie, w filcowych z kwiatkami pantoflach i w serdaczku. Dziadek Urszuli, pan Ryszard Świdrzyński, najwidoczniej marznie./* Dziadku, dlaczego nie położysz się porządnie na kanapie?

ŚWIDRZYŃSKI: Wolę na materacu, bo szerszy. Czy i dziś szwędali się po ogrodzie?

URSZULA: Około szóstej. Już się ściemniło. Ale tylko jeden. Bawarczyk.

ŚWIDRZYŃSKI: Zaglądał do okien?

URSZULA: Do narożnego, w gościnnym . . . Zresztą ja nie robię paniki, dziadku.

ŚWIDRZYŃSKI: To teraz ich zwyczaj wchodzić do cudzych ogrodów.

URSZULA: Nic w takim zwyczaju nie widzę pocieszającego.

ŚWIDRZYŃSKI: Pewnie.

URSZULA: Poza tym, ja, dziadku, jako kobieta, nie bardzo wiem, co robić? Wciąż te kwiaty! Codziennie!

ŚWIDRZYŃSKI: Nic nie znaczy, kokietuj dalej.

URSZULA: Kiedyż . . .

ŚWIDRZYŃSKI: Kokietuj . . . */Po przerwie./* Skoro jednak jest *folksdeutschem*, dlaczego nie nosi przepaski?

URSZULA: On? przyznałby się do tego? Przy każdej okazji podkreśla, że jest patriotą, ale apolitycznym. Widziałeś kto u niego zamieszkał?

ŚWIDRZYŃSKI: Owszem, Niemiec. Ale skąd wiesz, może po prostu zarekwirował pokój?

URSZULA: Nic podobnego! Zamieszkał jak u przyjaciela! Od razu widać! Płaz umundurowany! . . .

/Świdrzyński podchodzi do pianina i chrząka. Urszula tłumi leciutki uśmiech: wie doskonale, co takie chrząknięcie ma oznaczać — zaraz po nim zazwyczaj następuje pedagogiczny zwrot ku przeszłości. Nad pianinem w istocie wisi duży, owalny portret jej babki, Agnieszki z Gontwiłłów Świdrzyńskiej. Na portrecie wygląda młodo, tonie w koronkach./

ŚWIDRZYŃSKI */jakby od niechcenia/:* Babka twoja też nie miała łatwego życia.

URSZULA: Była lepsza.

ŚWIRZYŃSKI: Ale . . .! */chrząkając/* . . . ale — ci mężczyźni, ci nadskakiwacze żandarmi bali się jej nawet dotknąć! Tak ich wszystkich trzymała z daleka. Spokojem. Była bardzo spokojna.

URSZULA: Właśnie wciąż się boję, że nie potrafię się dobrze opanować */wzdychając./* Wszystko we mnie kotłuje. Myślę, czy wówczas nie widać.

ŚWIDRZYŃSKI */dość krytycznie przyglądając się wnuczce/:* Nie . . . nieźle . . . Ale Agnieszka, babka twoja była marmurowa! . . . */Pocierając ręce./* Coraz zimniej.

URSZULA: Chodziłam po szkło. Jeszcze nie ma. Nie możemy przecież wszystkich okien pozabijać dyktą.

ŚWIDRZYŃSKI: Jutro o dziesiątej rano Wilczyński obiecał koks przywieźć. Poczciwa starowina, naprawdę.

URSZULA: Mamy jeszcze ze dwa wiadra węgla.

ŚWIDRZYŃSKI: Ale powiadasz, drzewo do rozpałki — do niczego?

URSZULA: Mokrusieńkie! . . .

/Za oknem rozlega się głuchy hałas, jak gdyby rzucono na ziemię worek z kartoflami, a potem przewrócono jakąś deskę./

ŚWIDRZYŃSKI: Oo . . . !

URSZULA */wstając spokojnie/:* Czułam, że oni cały czas pod oknami chodzą.

ŚWIDRZYŃSKI: Zasłoń lampę. */Urszula zasłania lampę książką./* Zobaczymy z narożnego.

/Wychodzą na prawo. Pokój pozostaje pusty. Na stole pali się lampka. Potem rozlega się skrobanie do drzwi wejściowych we wnęce na lewo i metalowy szczęk poruszanej gorączkowo klamki. Drzwi otwierają się i wraca Urszula./

URSZULA */do dziadka pozostałego w sąsiednim pokoju/:* Napewno się schował.

/Przymyka drzwi i nagle zamienia się w słuch. Skrobanie i brzęk klamki są coraz rozpaczliwsze. Urszula odruchowo biegnie na środek pokoju, ale w następnej chwili opanowuje się i krokiem niemal majestatycznym podchodzi do konsolki w kącie, stawiając tam i zasłaniając książką karbidową lampkę. Potem nasłuchuje pod drzwiami. Zarzuca na ramię szal i spokojnie otwiera drzwi na ulicę . . . Coś na kształt krótkotrwałego tornado dzieje się na progu i zmiata ją w bok. Jakiś mężczyzna, potrąciwszy Urszulę walizką, zatrzymuje się ciężko zdyszany w środku pokoju. Urszula, szybko przymknąwszy drzwi wejściowe, bierze z konsolki lampkę i nie ukazując najmniejszego wzruszenia, podchodzi do nieznajomego i rzuca mu w twarz promień białego światła./

URSZULA */po chwili jak o rzeczy bardzo naturalnej/:* Pan długo biegł?

NIEZNAJOMY */z trudem łapiąc oddech, dość wrogo/:* A kto pani . . . mówił, że biegłem. */Zasłaniając oczy od blasku/:* Niech mnie pani nie oślepia . . . Nie biegłem wcale.

URSZULA: O tak, to widać. */Po namyśle./* Pójdę, zapytam dziadka co z panem zrobić? Jak pańskie nazwisko?

NIEZNAJOMY: Górski, Mieczysław Górski.

URSZULA */uprzejmie, ale zupełnie niedowierzająco kiwając głową/:* O tak . . . tylko musi pan przejść do kuchni. Ja dziadka zawołam tutaj. */Górski trzymając kurczowo walizkę, idzie ku drzwiom na lewo, w głębi. Znika./*

URSZULA */za nim/:* Proszę tam nie palić! */zamyka za Górskim drzwi i nie śpiesząc podchodzi do drzwi na przeciwko, w których już się ukazała nasrożona postać Świdrzyńskiego./* Zdaje się, że to nasz. Może oficer?

ŚWIDRZYŃSKI */cicho/:* A jak się nazywa?

URSZULA */cicho/:* Mieczysław Górski. Dajmy na to.

ŚWIDRZYŃSKI: Czy pukał?

URSZULA: Właśnie, że skrobał. Jak weszłam do pokoju, odrazu posłyszałam. Skrobie, a potem porusza klamką. Przysłuchiwałam się dobrą chwilę, zanim zdecydowałam się otworzyć. Wydał mi się człowiekiem uczciwym.

ŚWIDRZYŃSKI: Po czym to poznałaś?

URSZULA: Po oddechu.

ŚWIDRZYŃSKI: Jak?

URSZULA: Niech dziadek lepiej przymknie drzwi, widać szparę. Czy ktoś był w ogrodzie?

ŚWIDRZYŃSKI: Nie zauważyłem . . . Ale chodnikiem przeszedł patrol. Jak zawsze dwóch żołnierzy. Zatrzymali się na rogu, rozmawiając. Jakto, poznałaś po oddechu?

URSZULA: Ani złodziej nie byłby taki zdyszany, ani gestapowiec. Nigdy w życiu nie słyszałam czegoś równie hałaśliwego. Otwierając drzwi byłam przygotowana, że zobaczę raczej sforę myśliwskich psów, niż jednego człowieka z walizką. Wyglądał, jak gdyby miał atak astmy.

ŚWIDRZYŃSKI: Może . . .

URSZULA */ze spokojnym pół uśmiechem/:* Napewno. Coś w rodzaju dusznicy okupacyjnej.

ŚWIDRZYŃSKI: Przyniósł walizkę?

URSZULA */oglądając sobie ramię/:* Pewnie, że przyniósł. Mam nawet siniec.

ŚWIDRZYŃSKI: Ooo . . . Trzeba go będzie zobaczyć. */Razem z wnuczką podchodzą do drzwi kuchni, uchylają je i natychmiast zamykają z powrotem. Potem spoglądają jedno na drugie ze zdziwieniem./* Widziałaś?

URSZULA: Tak. Trzymał się za gardło.

ŚWIDRZYŃSKI */potrząsnąwszy głową/:* Zawołaj go! */Urszula zasłania lampę i wpuszcza do pokoju Górskiego: ma jeszcze błędne spojrzenie, ręce mu drżą, jest spocony, ale oddycha już równiej. Świdrzyński przygląda mu się przez chwilę/.* Czym panu mogę służyć o tej porze?

GÓRSKI */mrukliwie/:* Nie ma jeszcze nawet pół do dziewiątej.

ŚWIDRZYŃSKI: Jeszcze? */Zamieniwszy spojrzenie z wnuczką./* Gdzież pan był przez cały czas, jeśli nie wie, że po mieście wolno chodzić tylko do siódmej?

GÓRSKI */z podełba/:* Kto panu powiedział, że nie wiem. Po prostu dopiero co przyjechałem do Warszawy.

ŚWIDRZYŃSKI */najwidoczniej niezadowolony z odpowiedzi/:* Jednym słowem, czego pan chce?

GÓRSKI: Nie domyśla się pan? */Z trudem hamując gniew, ociera twarz./* Gościnności! . . . */Zamiast odpowiedzi, Świdrzyński gwiżdże krótkim, ironicznym gwizdnięciem, mającym oznaczać: "tetete, ptaszku!" Wtedy Górskim aż coś wstrząsa./* Jak pan śmie gwizdać!

ŚWIDRZYŃSKI */przyglądając mu się uważnie/:* Przecież pana nie wyrzuciłem. Chcę tylko wiedzieć co, jak, dlaczego?

GÓRSKI: Pańskim obowiązkiem było mnie wpuścić, nie pytając o nic! Skąd pan wie, czy ja mogę odpowiedzieć!

ŚWIDRZYŃSKI: A pan, skąd pan wie, że mogę pana wpuścić? */Bystre spojrzenie z podełba Górskiego, które przyłapuje Urszula/.*

URSZULA */półgłosem/:* Dziadku.

ŚWIDRZYŃSKI */siadając na kanapie/:* Niech pan usiądzie. */Górski siada obok, nie rozstając się z walizką, którą opiera o poręcz, Świdrzyński patrząc mu w oczy, nie mrugając, uśmiecha się./* Zabawna rzecz, przypomniała mi się pewna powieść . . .

GÓRSKI: Nie znoszę literatury. Zwłaszcza w takich chwilach.

ŚWIDRZYŃSKI: . . . razu jednego uciekł ranny oficer i szukał schronienia w prywatnym domu . . .

GÓRSKI */nagle/:* Aaa! . . . Na Żeromskiego, na "Wierną rzekę" pan mnie nie weźmie!

ŚWIDRZYŃSKI: Co to ma znaczyć?

GÓRSKI: Tyle tylko, że nie jestem ani rannym, ani wojskowym . . . */Wyzywająco, wytrzymując spojrzenie starego./* Jestem cywil. Wysiedlono mnie z Poznania. Dojechałem do Warszawy o zmierzchu. A tu akurat stan wyjątkowy. Tak jest! Zanim doszedłem, było już zupełnie ciemno. Jak w mogile. Zresztą, nie znam miasta. To wszystko. Mało panu?

ŚWIDRZYŃSKI: A miał pan gdzie zamieszkać?

GÓRSKI: W ciemnościach pogubiłem się w numerach. Mam ciotkę na Placu Wilsona.

ŚWIDRZYŃSKI: Plac Wilsona? . . . To pan trochę zbłądził . . . */Wstając./* Trudno, niech pan zostanie. O świcie jednak proszę pójść. Tymczasem chyba w kuchni. Nie wiem, czy się panu będzie dobrze spało, ale . . . — co robić!

URSZULA: Kiedyż tam zupełnie mokra podłoga . . . !

ŚWIDRZYŃSKI: Przyniosę baranicę. Mamy taką, że pan żadnej wilgoci nie poczuje. */Wychodzi. Górski rozpina na sobie palto i maca zawinięte szalikiem gardło./*

URSZULA: Boli pana gardło?

GÓRSKI: Owszem, boli.

URSZULA: To niech pan palta nie zdejmuje. Nie mamy jeszcze czym zaopatrzyć okien. Strasznie wieje.

GÓRSKI */doświadczonym okiem oglądając nieład w pokoju/:* Bomba?

URSZULA: Nie. Pocisk.

GÓRSKI */obojętnie/: Aha . . .*

/Wraca Świdrzyński, niosąc oburącz baranicę, rzuca ją na materac. Potem wyjmuje z kieszeni puszkę szprotek./

ŚWIDRZYŃSKI: Oto szprotki.

GÓRSKI: Po co mi pańskie szprotki, nie jestem głodny.

ŚWIDRZYŃSKI: To zje pan jutro. Chleba nie mamy . . . Niech pan na mnie takim złym okiem nie patrzy. Czasy są teraz nienormalne.

GÓRSKI: Co pan mówi, czyżby?

ŚWIDRZYŃSKI: Człowieka to bombardowanie trochę zahukało. Jak kto przyjdzie, to nawet mimowoli trzeba się spytać . . . */Otrząsa się i odwraca oczy od walizki/* . . . poco i jak . . . */Znowu zerka w stronę walizki, a potem, wyprostowując się i udając, że czegoś nasłuchuje/* Trzeba się spytać, pan rozumie . . .

GÓRSKI: Nie. Bo nie jestem taki ciekawy. Nie pytam się do kogo przyszedłem. */Czujnie./* Czego pan słucha?

ŚWIDRZYŃSKI: Wydało mi się, że na ulicy ktoś się zatrzymał przed gankiem. */Urszula podnosi brwi, patrzy na dziadka./* Nie, nie, nie! Niech pan siedzi! */Niewidzialna sprężyna podnosi jednak Górskiego z kanapy./* A może i słusznie. Niech lepiej wyjdzie. Szybko! */Wypycha Górskiego do kuchni w takim popłochu i tak szybko, że Górski zapomina na kanapie walizkę./*

URSZULA: Dlaczego to dziadek zrobił? Przecież tam nikt nie chodzi.

ŚWIDRZYŃSKI: Chciałem zobaczyć co on tu ma. */Podnosi walizkę i kładzie ją na stół./* Spójrz! */Z pod wieka wystaje kawałek gazety. Urszula pochyla się nad nią, potem odwraca głowę i patrzy na dziadka milcząco./* Potrzymaj z tej strony!

URSZULA: Co chcesz zrobić?

ŚWIDRZYŃSKI: Otworzyć. */Naciska zamek z lewej strony, zamek odskakuje. Naciska z prawej — bezskutecznie./* Psiakrew! z drugiej strony zamknięta. */Usiłuje podważyć wieko z boku i włożyć rękę do wnętrza. Dłoń jednak nie mieści mu się w szparze./* Urszulo!

URSZULA: To takie przykre zaglądać do jego rzeczy.

ŚWIDRZYŃSKI: Do przyjemności nie należy, ale . . . */Znowu pochyla się, pokazując wnuczce rąbek gazety./*

URSZULA */z powagą/:* Dobrze. */Wkłada rękę do walizki i coś maca./* Bielizna.

ŚWIDRZYŃSKI: Patrz jeszcze. Broni nie ma?

URSZULA: Nie . . . Jakiś pas. Butelka! */Podważają wieko jeszcze bardziej i przyglądają się czemuś, co jest wewnątrz./* Śliwowica.

ŚWIDRZYŃSKI: A to co?

URSZULA */zapartym tchem/:* Ubranie.

ŚWIDRZYŃSKI: Wyciągnij kawałek. */Urszula wyciąga kawałek szarego rękawa. Oboje zamierają. Świdrzyński odwraca się w kierunku kuchni, potem rozkazującym szeptem./* Wyciągnij wszystko! szarpnij! */Urszula szarpie z całej siły, wydobywając na światło karbidowej lampki mundurową kurtkę feldgrau. Wstręt i zimna pogarda na chwilę zniekształca jej twarz./*

URSZULA: Jakie to straszne . . . */Wypuszcza kurtkę z rąk, kurta pada na kanapę./*

ŚWIDRZYŃSKI */szeptem/:* Wepchnij z powrotem. I zaraz go zawołaj. Prędzej! */Urszula bierze kurtkę i wciska do walizki./* Zamknij! */Świdrzyński podchwytuje jej z rąk walizkę i stawia na kanapie. Urszula idzie ku drzwiom kuchni, otwiera je i woła./*

URSZULA: Już może pan wejść. Tam nikogo nie było. */Górski wraca./*

ŚWIDRZYŃSKI */zupełnie innym, niż przedtem tonem/:* My osobiście nie mamy się czego bać niemieckich patroli. Ale pana mogą się czepić. Dlaczego szedł? skąd? */Siadając./* Niechże pan weźmie te szprotki . . . Co dobrego słychać w Poznaniu?

GÓRSKI: Dobrego? Masakra!

ŚWIDRZYŃSKI: Cóż takiego?

GÓRSKI: Polakom nie wolno nawet chodnikami chodzić. Jak spotkają niemieckiego żołnierza, czapki każą zdejmować. Rozstrzeliwują setkami.

ŚWIDRZYŃSKI */z udanym zdumieniem/:* To pan powiada, że tak uciskają ludność?

GÓRSKI */na baczności/:* A pan się dziwi?

ŚWIDRZYŃSKI: W Poznaniu co prawda nie byłem. Ale uważam, że dużo przesady w tym, co ludzie gadają. */Górski sztywnieje./* Wiadomo, wojna nie jest romansem, ale z punktu widzenia politycznego . . . nie wiem, jak pan, ale . . .

GÓRSKI */wymijająco/:* Polityką się nie zajmowałem.

ŚWIDRZYŃSKI */do wnuczki/:* To tak, jak nasz sąsiad, prawda? On też mówi, że jest apolitycznym patriotą . . . Nie mówmy więc o polityce, skoro pan jej nie lubi. Hm . . . Czy wolno wiedzieć, jakie było pańskie zajęcie?

GÓRSKI */trochę zaskoczony/:* Moje? */opanowawszy się już zupełnie./* Byłem urzędnikiem w Ubezpieczalni. Nie zmobilizowano mnie. A nawet pod kategorię ewakuacyjną nie podpadłem, wie pan kiedy wszyscy, kto mógł, wyjeżdżali . . .

ŚWIDRZYŃSKI: O wiem . . . o wiem . . . */oglądając Górskiego od stóp do głów, a potem patrząc na walizkę./* Dużo rzeczy pan z sobą nie ma?

GÓRSKI: Ja? . . . Tak! Włożyłem tylko trochę bielizny.

ŚWIDRZYŃSKI */nagle cienkim, krzykliwym głosem, palcem wskazując walizkę./* Gazetka sterczy!

GÓRSKI */pochyliwszy wzrok w kierunku wskazującego palca Świdrzyńskiego, spostrzega skrawek gazety/:* Ah, tak. */Opanowawszy leciutki wstrząs twarzy./* I to niemiecka. Nie miałem w co, musiałem zawinąć w tę parszywą gadzinówkę. Bo mi się podwinęła pod rękę. */Wyzywająco./* Nie mam prawa?

ŚWIDRZYŃSKI: Ależ oczywiście. Zresztą, nie jest znowu taka parszywa. My nawet dość często czytamy. Są zawsze świeże wiadomości. Trzeba przyznać, redagowana jest bardzo żywo. Mit Fachkenntnis.

GÓRSKI: Ja po niemiecku nie rozumiem.

ŚWIDRZYŃSKI */z uśmiechem/:* Ah tak? bo napewno pan pochodzi z Kresów? */Górski milczy. Świdrzyński wstając./* Wnuczka pana zaprowadzi, a ja już pójdę. Proszę wybaczyć, że na podłodze i z oknem wybitym, i że wilgoć, ale u nas — czym chata bogata, tym rada.

/Nie podając ręki, idzie ku drzwiom na prawo, ogląda się i stwierdziwszy, że siedzący na kanapie, plecami do niego, Górski, nie może go zobaczyć, otwiera i głośno zamyka drzwi — nie wychodząc. Potem bezszelestnie stąpając w filcowych pantoflach wraca i chowa się za pianinem. Teraz dopiero Urszula wstaje również, bierze baranicę i poprzedzając Górskiego, z niezmąconym spokojem płynie ku kuchni. Przed progiem przystaje, odwraca się i ponad ramieniem Górskiego, niewzruszona patrzy w stronę pianina. Schowany tam dziadek rozpaczliwie wymachuje rękami, niczym dyrygent, nakazujący orkiestrze zdobyć się na jakiś najbardziej patetyczny wysiłek./

URSZULA */spokojnie/:* Jestem bardzo zdenerwowana.

GÓRSKI */patrząc na nią z podełba/:* Zauważyłem to.

URSZULA */z widocznym niezadowoleniem/:* Pan to zauważył?

GÓRSKI: Bo czy posąg może być zdenerwowany?

URSZULA: Jestem kobietą . . . */Zaskoczony jej nagłym urokiem Górski otwiera usta./* Mam niekiedy inne, lepsze wyczucie, niż ma dziadek.

GÓRSKI: Et, dziadek pani, to stary . . . */nie kończy, wstrzymany nieznacznym ruchem ręki Urszuli/.*

URSZULA */ważąc każde słowo/:* Powiedziałam mu, kiedy pan wszedł . . . jeśli to można nazwać wejściem . . . że wydał mi się pan człowiekiem uczciwym.

GÓRSKI: To co?

URSZULA: Bo jednak to było wejście uczciwego człowieka.

GÓRSKI */powoli tracąc panowanie nad sobą/:* Czy mam pani sam o sobie powiedzieć, że jestem uczciwy? */Przerwa./* Tak! Jestem! . . . Pani niekiedy ma taki wzrok . . . Ja bym chętnie panią zbił za takie oczy!

URSZULA */powoli/:* A dlaczego ma pan w walizce niemiecki mundur?

GÓRSKI */zmieszany/:* Mundur? Tutaj? . . . */Coś nim wstrząsa i oto wybucha w straszliwej pasji gniewu i zmęczenia./* Pani nie śmie tak na mnie patrzeć! u kaduka! */Wali pięścią w stół, a potem zrywa z szyi szalik./* Pani nie ma prawa tak mówić do mnie kiedy mnie . . . kiedy mnie . . . przed kwadransem . . . duszono!

URSZULA */nie drgnąwszy/:* Jak?

GÓRSKI: Pani nie rozumie jak człowieka można dusić? Za gardło!

URSZULA: Gdzie?

GÓRSKI: Jak! gdzie! . . . Tutaj! Przed waszym domem!

URSZULA */zwolna opadając na krzesło/:* Na miłość boską.

GÓRSKI: Nie przypuszczałem, że pani aż tak się tym przejmie!

URSZULA */spokojnie/:* Ja się nie tym przejęłam, że pana duszono, ale, że pod naszym domem.

GÓRSKI: Ładną ma pani naturę! Wnuczka w dziadka! Niech duszą ludzi, byle nie w pobliżu naszej willi.

URSZULA */jakby w zadumie/:* Czy ktoś to widział?

GÓRSKI: Mam nadzieję, że nie.

URSZULA: A . . . dlaczego . . . on pana nie udusił?

GÓRSKI: Dziękuję! Dlatego, że uderzyłem go w skroń. W ostatniej chwili. Już mi się gwiazdy sypały przed oczami.

URSZULA */jak zegarynka/:* O tak. I on pana puścił.

GÓRSKI: Puścił, ale nie uciekł. */Urszula somnambulicznym ruchem kiwa głową./* Trochę za mocno uderzyłem.

URSZULA */poważnie/:* Szwaba nie można uderzyć za mocno.

GÓRSKI: Nie mogłem przecież pozwolić, żeby mnie przyprowadzono z powrotem, jak barana!

URSZULA: Pan uciekł z Gestapo.

GÓRSKI: Nie z Gestapo! Stamtąd nie miało sensu . . . Z łaźni.

URSZULA: O tak.

GÓRSKI: O tak, o tak, pani mi działa na nerwy!

URSZULA */nie mrugnąwszy/:* Trzeba było od razu powiedzieć. Wiem, że z Gestapo prowadzą do łaźni. Oni się boją epidemii. Pan sam?

GÓRSKI: Nie, jeszcze dwóch. Tylko oni gdzie indziej i ja gdzie indziej. To nie było przypadkowe.

URSZULA: Organizacja?

GÓRSKI: Niech się pani sama domyśli.

URSZULA */po przerwie/:* Nie wiem, czy pan może zostać. To bardzo niefortunnie się złożyło, że pan właśnie do nas trafił.

GÓRSKI: Zamierzałem z początku do sąsiedniego domu, ale traf chciał, że nie zdążyłem dobiec.

URSZULA */wskazując w kierunku zabitego dyktami okna/:* Tam? Nie, to było by jeszcze gorzej, tam mieszka pan Krygier . . . Jeśli mówię, że nie wiem, czy może . . .

GÓRSKI: Dobrze! Tylko gdzie ja pójdę?

URSZULA: Pójść pan też nie może. */Patrzy w stronę pianina./* Trzeba przesiedzieć do świtu w kuchni. Koło okna. Ale z boku. Ja panu pokażę . . . Jeżeli przyjdą z ulicy, dam panu znać. Wyskoczy pan do ogrodu. Ale tylko w ostateczności. Trzeba uważać. Już od kilku dni szpera w naszym ogrodzie jakiś niemiecki żołdak.

GÓRSKI: Widziałem.

URSZULA */ściągając brwi/:* Pan go widział? */Powoli odwracając głowę i wskazując walizkę./* To może . . . to . . .

GÓRSKI: Nie, to nie on.

URSZULA: Nie on? */Coś potwornego sobie uprzytomniwszy, wstaje z krzesła./* Ale . . . ale gdzie . . . pan go zostawił?

GÓRSKI: Właśnie u was w podwórku. Musiałem go przecież gdzieś wciągnąć.

URSZULA: U nas? Wielki Boże! Przecież tamten żołdak zaraz go może zobaczyć!

GÓRSKI: Wątpię. Położyłem go między grządkami i przykryłem jakąś deską. Zdaje się, że to był kawałek złamanych drzwi.

URSZULA */głucho/:* Był.

GÓRSKI: Myślałem ukryć się w ogrodzie . . . byłem taki zziajany, że już mi się niczego nie chciało. Przykucnąłem pod płotem, a tu nagle przypomniałem sobie: a walizka! A walizka, z którą on szedł? przecież została w środku chodnika! . . . Wybiegam po nią, wracam, a w ogrodzie ktoś się szwęda . . . Cofnąłem się na ulicę, patrzę, w stronę placu idzie patrol! . . . Myślałem — koniec!

URSZULA: O tak!

GÓRSKI: Wlazłem na ganek i zacząłem skrobać. Przecież głośno pukać nie mogłem. Całe szczęście, że pani zdążyła mi otworzyć.

URSZULA */spokojnie/:* Jestem bardzo zdenerwowana. On tutaj nie może zostać.

GÓRSKI: Jabym go nie zostawił.

URSZULA: A coby pan zrobił?

GÓRSKI: Myślałem, że jutro, przez swoje kontakty, postaram się go gdzieś sprzątnąć.

URSZULA: To już może być zapóźno. Pan wie, co zrobili przed paroma dniami?

GÓRSKI: Co?

URSZULA: Znaleźli w szynku zabitego żołnierza. Ktoś go wykończył po pijanemu w bójce. W każdym razie wszystkich mężczyzn w okolicy . . .

GÓRSKI */z malowniczym ruchem ręki/:* Tak?

URSZULA: Nie, mówią, że pod karabin maszynowy . . . Do tego nie wolno dopuścić. Nie mówiąc o tym, że my . . . że u nas . . .

GÓRSKI: My! u nas! pani znowu tylko o sobie.

URSZULA */puściwszy to mimo uszu/:* Kiedy trudno. Nie może zostać!

GÓRSKI: Mogę go zabrać na plecy . . . i . . .

URSZULA: . . . i gdzie pan pójdzie? W kierunku Wisły nie można, w nocy tam najwięcej patroli. A na ulicy pana złapią . . . Nie. Muszę o tym pomyśleć. Niech pan idzie tymczasem do kuchni i siądzie za kredensem */Górski idzie do kuchni i zatrzymuje się w progu./* Niech pan weźmie baranicę. I proszę tam nie palić.

GÓRSKI: Wiem, mówiła już pani.

URSZULA: Ja może jeszcze później przyjdę. Muszę się tylko kogoś poradzić.

GÓRSKI: Chce pani powiedzieć dziadkowi?

URSZULA */patrząc na skulonego za pianinem Świdrzyńskiego/:* Nie, dziadkowi już nie trzeba mówić . . .

/Górski wychodzi. Wtedy Świdrzyński ostrożnie wysuwa się z za pianina./

URSZULA */cicho/:* Słyszałeś? leży między grządkami. Może zakopać?

ŚWIDRZYŃSKI */potrząsając głową/:* Nie damy rady, bo zauważą. */Rozmyślając./* Ale jutro z rana . . .

URSZULA: Co z rana? przecież Krygier spaceruje u siebie w ogródku. Umówił się ze mną na randkę.

ŚWIDRZYŃSKI: To już twoja rzecz . . . Mówię, z rana przyjedzie Wilczyński furką. Z koksem.

URSZULA: Wywieziemy na furce?

ŚWIDRZYŃSKI: Tak sobie myślę. */Milczenie./*

URSZULA */nagle/:* Dziadku, a dlaczego nie odrazu wyszedłeś, kiedy zrozumiałeś, że to nasz?

ŚWIDRZYŃSKI: Bo babka twoja tego bardzo nie lubiła. Mówiła, że zawsze w takich wypadkach woli być sama.

URSZULA: Dziękuję . . . */Milczenie./* A czy naprawdę nic po mnie nie było poznać?

ŚWIDRZYŃSKI */bez wielkiego przekonania/:* Niee . . . Ale babka twoja była marmurowa. */Wznosząc palec do góry./* Zupełnie marmurowa.

MICHAŁ CHOROMAŃSKI

Bywa też i tak . . .

Gdzieś koło północy przycumowaliśmy do ropowca. Manewr piekielnie trudny. Wchodziliśmy pierwszy raz do obcego portu, a raczej porciku, położonego w ujściu rzeki. Ciasno, pełno wraków i mielizn i na dodatek rzekę przecina przewóz. No ale jakoś bardziej na instynkt niż na rozum dotarliśmy do ropowca.

Wziąłem gorącą kąpiel i układając się do snu, postanowiłem wcześniej, niż o dziesiątej nie wstawać. To mi się słusznie należy.

Ledwo zasnąłem, obudzono mnie meldując, że John dobił do naszej burty. W pół godziny potem przyniesiono sygnał, że o siódmej mamy spotkanie z konwojem około 20 mil od portu . . .

W takich chwilach ogarnia człowieka potworna wściekłość. Po prostu zatyka . . . I mnie też "zatkało". Powiedziałem więc tylko: "Gotowość maszyn na szóstą — zameldować zastępcy i mechanikowi" i odwróciłem się do burty.

Przed szóstą obudził mnie zastępca meldunkiem: — "Mgła, że dziobu nie widać. Okręt gotowy do odkotwiczenia". Niewyspany, kwaśny, zmęczony zwlokłem się z koi. Za pięć szósta jestem na pomoście. Mgła, że choć w gębę daj. John już też jest na pomoście. — "Odchodzisz?" — pyta. — "A tybyś odszedł?" — odpowiadam. — "Nie, nie ryzykowałbym!"

—"Nawigacyjne ryzyko jest mniejsze, niż wojenne, tam jest konwój" — argumentuję Johnowi, i wiem, że odkotwiczę napewno. Gdy powiedział "jabym nie ryzykował" — postanowiłem odkotwiczyć . . . — "Rzucaj cumy i odchodź do tyłu" — powiadam do Johna — "ja pójdę odrazu do przodu". — "Dobrze, *good luck*!"

Po chwili słyszę rozkazy rzucenia cum, komendy do maszyn i na ster i kontrtorpedowiec ginie we mgle. — "Już was nie widzę" — wrzeszczy John. — "Odchodzę" — odkrzykuję.

Jest godzina po niskiej wodzie. Lekki prąd przypływowy. Powinno się dobrze sterować. — Najważniejsze, żeby wyminąć ten duży wrak, który mamy przed dziobem, a potym już powinno pójść gładko — myślę, prawie że na głos.

Mgła jest gęsta jak wata. Wydaje się, że można bv ją krajać na płaty, a jednocześnie jest lotna i wszędyprzenikliwa. Pełno jej w uszach, oczach, nosie, ustach. Nawet kieszenie są pełne mgły . . .

Cumy rzucono. Ruszamy naprzód. Ocieramy się o burtę ropowca. Posterunki obserwacyjne na dziobie i rufie meldują: — "Przed dziobem czysto" — "Rufa przeszła". Oddycham. Pierwsze minęło.

Wrzeszczę przez tubę głosową w stronę Johna: — "Ropowiec wolny" i staram się przeniknąć mgłę. Nic nie widać. Podaję sternikowi kurs i w nerwowym napięciu czekam, kiedy zobaczymy ten osiadły na dnie ropowiec. Sekundy się dłużą jak wieczność. Na pomoście, jak zresztą na całym okręcie — cicho. Wszyscy wypatrują. — "Prawo pięć boja!" — wrzeszczy czujka z dziobu. — "Boja przed wrakiem, powinniśmy zostawić ją po lewej burcie" — przebiega mi przez głowę. Automatycznie daję komendę do maszyn: — "Obie stop, prawa wolno wstecz". Musimy się cofnąć i odchylić dziób w prawo.

Sytuacja nie do pozazdroszczenia. Z tyłu mamy ropowiec, z przodu wrak, w lewej mieliznę, pod nami łańcuchy "ferry". Jedynie z prawej strony trochę miejsca i głębszej wody. Okręt powoli zatrzymuje się, potem zaczyna iść do tyłu. Czuję to raczej niż widzę. — "Boja znikła" — meldują z dziobu.

—"Za rufą ląd" — nadchodzi meldunek z rufy. — "Prawa stop, lewa wolno naprzód" — rzucam desperacko do maszyn. Sytuacja jest dosłownie bez wyjścia. Okręt nie ma inercji, nie słucha steru, znajduje się właściwie na łasce i niełasce prądu przypływowego, do którego teraz ustawieni jesteśmy burtą. Zresztą kto tam wie, jak w takich wąskich przejściach prądy kołują.

Zmieniam bieg maszyn, aby wykręcić okręt w lewo. Lekki wstrząs. — "Siedzimy" — wykrztusił stojący obok mnie zastępca. — "Obie stop, kotwicę rzuć" — czuję, że mam zroszone czoło. Wiem, że to nie mgła. W ustach czuję gorzki smak krzywdy i żalu. Krzywdy wyrządzonej okrętowi. I żalu do samego siebie. Poco odkotwiczałeś? . . .

Zastępca pobiegł na rufę zorientować się w sytuacji, ja poczułem się tak zmęczony, że musiałem usiąść. Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł rozpłynąć się w tej mgle. Pocichu wszyscy poznikali z pomostu. Byłem im za tę delikatność wdzięczny. Z rufy dochodziły odgłosy sondowania. Na pokład weszła cała załoga.

Było mi głupio. Wstyd. Wlazłem na mieliznę.

Siedziałem tak chcąc zapomnieć, że żyję — nie wiem jak długo . . . Zastępca z mechanikiem meldują, że dotknęliśmy mielizny prawą śrubą, wstrząs w maszynie był dość duży. Sondowanie wskazuje, że siedzimy tylko kilka centymetrów, ponieważ jest przypływ — powinniśmy sami zejść. Byle tylko śruba lub, co gorsze, wał nie były zgięte. Czuję z tego meldunku, że chcą mnie czy samych siebie pocieszyć i czuję pewne odprężenie. Ludzie są dobrzy . . .

Każę nadać sygnał na ląd, że siedzimy na mieliźnie i prosimy o holownik. Schodzę do kabiny. Filiżanką gorącego kakao trochę mnie uspakaja. Siadam na fotelu i staram się nie myśleć o niczym. Oficer dyżurny melduje, że nie można w żaden sposób dowołać się lądu. Nic nie widać. Czy można wysłać sygnał przez radio? — "Dobrze" — mówię zrezygnowanym głosem. Jest mi teraz wszystko doskonale obojętne.

Koło ósmej przyszedł zastępca i zameldował, że mgła się podnosi. Wyszedłem na pokład. Widoczność poprawiła się znacznie. Widać już nawet kontury ropowca. Jesteśmy od niego jakieś pół kabla. Zastępca proponuje zarzucić cumę na beczkę i próbować windą ściągnąć się z mielizny.

Wyrażam zgodę i wędruję na pomost. Spuszczamy motorówkę, zawozimy cumę na beczkę, podciągamy się na windzie. Czuję jak okręt spływa z prądem. Chwała Bogu! Może wszystko się dobrze skończy. Ruszam wolno maszynami. Wszystko w porządku. Cumujemy do ropowca.



Nadajemy sygnał na ląd z prośbą o przysłanie nurka celem zbadania śrub. Holownik już niepotrzebny.

Przychodzi John. Pociesza i przynosi kapitalną wiadomość. Alianci wylądowali w Afryce. Jest 11 listopada 1942 roku. Nieszczęście moje trochę zmalało. John przyniósł mi zresztą jabłko . . .

Koło 9-ej mgła opadła zupełnie. Wzeszło śliczne słońce i przyjechał nurek. Nie miałem odwagi iść na rufę, przechadzałem się tylko nerwowo po kabinie, czekając na raport nurka, jak na wyrok sądu ostatecznego.

Wpada zastępca: — "Śruba w porządku" — mówi rozradowanym głosem. Mam ochotę uściskać go. — "Dajcie nurkowi butelkę ginu i odkotwiczenie" — mówię zastępcy i czuję się zupełnie, zupełnie wyczerpany . . .

Gwiżdżą odkotwiczenie. Wychodzę na pomost i przyglądam się brzegom, które tak niegościnnie się ze mną obeszły. Jest tu uroczo. Na zboczach jaru, którym rzeka wpada do morza — śliczne parki, ogrody, wille. U wejścia do portu ruiny zamku. Ładnie tu, ale nie będę lubił tego miejsca . . .

Rzucamy cumy. Mijamy boję i wrak, jesteśmy w "kanale". Na razie nie czujemy żadnych wibracyj, ani wstrząsów.

Po minięciu bonów zwiększamy szybkość. Okręt zaczyna się trochę trząść. — "To nic" — mówi zastępca — "zawsze w ciasnych wodach przy zmianie obrotów trochę trzęsie". Usiłuję w to wierzyć, ale niepokój ogarnia mnie na nowo.

Po wyjściu z rzeki zwiększam szybkość. Z ilością obrotów wzrastają wibracje. Wyraźnie coś jest nie w porządku. Przy dwudziestu węzłach na pomoście nie można ustać. Dalocelownik trzęsie się niemiłosiernie, kompas chce wyskoczyć z podstawy, reflektorki na skrzydłach pomostu tańczą nerwową rumbę.

Nie mam żadnych złudzeń. Jeśli śruba cała i w porządku — zgięliśmy sobie wał.

Przychodzi sygnał od C in C: — "Iść maksymalną szybkością 10 minut i meldować wibracje". Zwiększamy szybkość. Wibracje jakby zmniejszają się.

Wysyłamy odpowiedź, że okręt w granicach 18 — 20 węzłów posiada nienormalne wibracje, które przy dalszym zwiększaniu szybkości maleją. Po godzinie otrzymujemy rozkaz dołączenia do konwoju.

I tak zaczęliśmy pływanie ze zgiętym wałem. W konwojach na małych szybkościach wszystko było w porządku. Ale tak się złośliwie składało, że przeważnie zmuszeni byliśmy chodzić dużymi szybkościami. To poszukiwanie strąconych do morza lotników, to koncentracja na wypad pod francuski brzeg, to znowu amerykańska latająca forteca pod Cherburgiem, to patrol pod Cape de la Hague. Sytuacje takie, że po prostu wstyd meldować, że się trzęsiemy . . . Pomyślą, że ja się trzęsę. A trzesło niemiłosiernie.

Mechanik przychodził na pomost i meldował, że lada chwila wszystko mu się urwie, rozwali, rozleci i wszyscy ugotujemy się w przegrzanej parze. Artylerzysta meldował, że dział nie można obracać, że dalocelownik rozklekotał się zupełnie, że on nie odpowiada za wynik strzelania, że natychmiast, zaraz trzeba wracać do portu. Zastępca meldował, że załoga nie może spać, siedzieć, gotować, jeść. Mój Boże czego tam jeszcze "nie było można".

Ale ja zaciąłem się. Nie będę meldował drugi raz. Chodziliśmy tak dziewięć dni, stając tylko po ropę i prowiant. Zrobiliśmy przeszło dwa tysiące mil, wyłowiliśmy dwunastu lotników, zestrzeliliśmy samolot, o mało co baterie niemieckie nie posłały nas na dno. Wreszcie poszliśmy do doku.

Kiedy już w suchym doku pierwszy raz siadłem do stołu — całe nakrycie wibrowało . . . Te wibracje wytrzęsły ze mnie raz na zawsze ambicję odkotwiczania w czasie mgły.

LEOPOLD MILANOWSKI

U Pana Boga za piecem

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

WIZYTA OFICJALNA

Opowiadają w Dywizji Pancernej o pewnym gościu oficjalnym, który przyjechał na parę dni z jakąś inspekcją czy też oficjalną wizytą. Zobaczył polskie flagi w niemieckich miasteczkach, zobaczył Niemców pokornie zdejmujących czapki, zobaczył niemieckich policjantów, salutujących na wszystkie strony — i jego polskie serce przepełniła radość. Potem jakaś uroczystość, święto pułkowe, kasyno, wygodna kwatera. Wszędzie Niemcy chodzą na paluszkach, Elzy i Berty podają, usługują, sprzątają, z własnej inicjatywy przynoszą kwiaty do pokojów, kiełbasa skwierczy na patelni, jajko na śniadanie, pierzynka na łóżku — raj!

Gość oficjalny odjeżdżał przepełniony błogimi uczuciami.

—Żyjecie tu — powiedział — jak u Pana Boga za piecem! Słowo honoru!

Ja przyjechałem do Niemiec nieoficjalnie. Stary "jeep z napisem Press" znalazł się w kanadyjskim obozie prasowym, znajomy kierowca Kanadyjczyk powitał mnie szerokim uśmiechem i wyraził przypuszczenie, że miałem "*good time*" w Londynie, wyznaczyłem trasę na mapie — i pojechaliśmy przed siebie.

ZWYCIĘZCY I ZWYCIĘŻENI

Różnica pomiędzy Holandią a Niemcami rzuca się odrazu w oczy, zaraz za szlabanem granicznym, chociaż drogi, zabudowania i okolica są najzupełniej do siebie podobne. Ale Holandia obchodzi dziś święto zwycięstwa nad Japonią. Flagi holenderskie spływają z okien nieomal do ziemi, dzieci w pomarańczowych, papierowych czapeczkach radosnym gwarem wypełniają ulice. Orkiestry, korowody, petardy — wszystko to razem przypomina jakiś olbrzymi festyn.

W pewnym momencie trzeba zatrzymać samochód. Tłum idący za orkiestrą tamuje przejazd. Holendrzy trzymają się za ręce i tańczą, a raczej skaczą w takt jakiegoś marsza. Z bocznej ulicy wypływa nowy korowód, nowa orkiestra. Jedni wpadają na drugich, usiłują przebić się, przepchnąć. Śmiechy, krzyki, wrzawa — wygląda to tak, jakby kilkanaście tysięcy ludzi zorganizowało sobie zabawę, którą pamiętam z lat dziecinnych: "Czarnego Luda". "Boicie się Czarnego Luda?" — krzyczała klasa pierwsza "A" do klasy pierwszej "B". "Nieee!!!" Wobec tego ruszaliśmy pędem na stłoczoną i trzymającą się za ręce klasę pierwszą "B" . . .

Za szlabanem granicznym jest inaczej.

Cisza. Ani jednej flagi. Niemcy krzątają się przy domach, obojętnym, lub nieufnym spojrzeniem obrzucając przejeżdżające samochody. Od czasu do czasu tylko uśmiech jakiejś dziewczyny naprasza się frywolnie o odpowiedź.

Ścieżkami wzdłuż szosy wloką się niemieccy żołnierze, zwolnieni do domów. Wychudzeni, brudni, nieogoleni, z tobołkami na plecach, obdarci. Znam ich myśli. Ja też tak samo szedłem kiedyś szosą, z trudem dźwigając plecak. Wiem co znaczy każdy krok na odparzonych nogach, wiem jak trudno jest zdobyć kawałek chleba w przydrożnych gospodarstwach, do których co chwila zagląda jakiś wędrowiec.

Tu i ówdzie jakiś żołnierz niemiecki przystaje i wyciągnięciem ręki prosi o podwiezienie. Ale samochody wojskowe mkną dalej.

Biada zwyciężonym!

CYWILNI

Im dalej w głąb Niemiec — coraz większa wędrówka narodów. Tłumy ludności cywilnej wloką się wzdłuż szosy. Wysiedleni Niemcy, Niemcy wracający na pogranicze, Niemcy uciekający ze wschodu. Obok nich Polacy, Jugosłowianie, Litwini, Estończycy — jakaś tragiczna Wieża Babel języków. Niemców zresztą łatwo można odróżnić od innych narodowości. Są zazwyczaj lepiej ubrani, często jadą na rowerach, albo też ciągną wózki załadowane dobytkiem domowym. Polacy nie mają prawie nic. Z przepustkami lub bez przepustek idą. Jedni chcą znaleźć pracę na wsi, inni wyszli z obozów i szukają żywności, jeszcze inni wierzą, że w obozie położonym o sto kilometrów będzie lepiej.

Patrzę na ten tłum ludzki i zaczyna mnie dławić rozpacz. Przecież ta pani, z jakąś walizeczką w ręku, prowadząca małą dziewczynkę — to napewno była Polka! I ta szesnasto lub siedemnastoletnia dziewczynka, dźwigająca jakiegoś chłopczyka. I ta staruszka z biało-czerwoną wstążeczką w klapie, która siedząc w rowie wyciągała rękę, aby ją zabrać do samochodu.

A ja nie mogę zabrać nikogo. Co kilkanaście kilometrów tablica ostrzega kierowców, że nie mają prawa wozić ludności cywilnej. Kierowca natychmiast miałby kłopoty z żandarmerią. Cóż znaczy zresztą ten jeden samochód wobec tysięcy nędzarzy na drodze?

W beznadziejności mojej rozpaczy łapię siebie po chwili na tym, że szukam wśród tłumów nędzarzy — swoich najbliższych. A może przed chwilą minąłem właśnie moją matkę? A może ten chłopak, dwunastoletni chyba — jest moim synem? A może go Niemcy wywieźli? Może to właśnie był on?

Chcę wrócić, zapytać, sprawdzić — i nowe twarze, nowe wątpliwości — obłęd! Zaciskam ręce i wbijam wzrok w licznik samochodu. 50 mil na godzinę . . . Nie. Z tą szybkością nie można uciec od rozpaczy.

W małym miasteczku, zatłoczonym wojskiem i ludnością — zatrzymuję na chwilę samochód i szukam właściwej drogi w łamigłówce znaków wojskowych. Natychmiast dopada mnie jakieś nieszczęście, zwabione orzełkiem na berecie. Bosy, wynędzniały chłopczyk.

—Proszę paaana . . . Niech pan mnie da mareczkę . . . Ja chce kupić sobie bułka . . .

—Czyj ty? Skąd?

—Ja niczyj. Z obozu . . .

Synuś, chłopcze, dziecko . . . masz tę mareczkę, kup bułkę i uciekaj. Uciekaj, tak jak ja od ciebie uciekam samochodem, od ciebie i twoich oczu.

NA PIERWSZEJ LINII FRONTU

To nieprawda, że nasza Dywizja Pancerna przestała walczyć. To nieprawda, że doczekała zasłużonego odpoczynku.

Ci żołnierze walczą nadal. Z głodem, nędzą, chorobami — z tym wszystkim, co spadło na nich jak lawina. Ale to przecież jest tylko Dywizja, a potrzeb jest milion i przeciwności milion.

Dokąd mają iść wygnańcy, biedacy, jeńcy, żołnierze A.K.? Gdzie szukać ratunku, opieki, pokrzepienia?

W każdym oddziale, we wszystkich miejscach postoju polskich jednostek — tłoczy się ludność polska. Przyjmijcie do wojska, dajcie mundur . . . Pomóżcie mojej rodzinie . . . i mojej . . . Dajcie samochód, pozwólcie przewieźć żonę . . . Może macie jaką koszulę? . . . Dajcie lekarstw, ubrań, gazet, papierosów, dajcie choć trochę konserw . . . !

Cokolwiek by się dało — nie wystarczy, tyle jest potrzeb i tyle biedy. Nie wiem ilu Polaków w Londynie, czytając slogan: "Masz dwa ubrania — oddaj jedno Polakom w Niemczech", przyniosło swoje ubrania do P.C.K. Wiem natomiast, że żołnierze Dywizji dzielą się wszystkim. Zapasowe mundury, buty, bielizna, racje czekolady i papierosów — wędrują do obozów, przesyłane zbiorowo lub indywidualnie.

Ale to jeszcze nie wszystko. Prywatna przedsiębiorczość i inicjatywa może zdziałać bardzo wiele. Na przykład dowódca 24-go pułku ułanów, pułkownik Dowbór — zjednał dla polskiej sprawy serce Lady Napier. Dobra angielska Lady sama pakuje paczki i przysyła pułkownikowi na nazwiska poszczególnych oficerów, a pułkownik wyznaczył dwu oficerów do rozdziału paczek w obozach. Jedna paczka — siedem osób ubranych. A paczek przyszło już do pułku 220!

Kasyno oficerskie tego pułku przypomina w pewnym stopniu sanatorium. Nie wiem kto dzieli racje żywnościowe i kto zaopatruje to kasyno — trzeba jednak przyznać, że do gościnnego stołu zasiada czasami dwa razy więcej osób, aniżeli liczy zespół oficerski tego pułku.

—To nasze świetliczarki! — mówi pułkownik, przedstawiając mnie kilku na pół wojskowo ubranym paniom. — Oczywiście z Armii Krajowej!

—Ile pułk ma świetlic? — dziwię się po cichu.

—Nie ważne ile świetlic — burczy pułkownik. — Ważne ile świetliczarek!

Ale nie tylko świetliczarki są w kasynie. Jacyś oficerowie z obozów, jakieś panie z Warszawy, speszone szykiem i kawaleryjską fantazją pancernego pułku. *Battledressów* zabrakło, więc oficerowie wrześniowcy i ci z A.K. są narazie umundurowani w koszule khaki. To zawsze przypomina wojsko, chociaż niezbyt grzeje.

Obiad mija wesoło, bo tam nie można mówić o rzeczach smutnych. Rzeczy smutne zaczynają się poza kasynem. Bo przed dowództwem pułku już stoi grupka osób, cywilów i wojskowych. Oficer służbowy melduje pułkownikowi przybyłych. Kolejno pułkownik wysłuchuje tragicznych spowiedzi wygnańców. A wieczorem — znowu kilka nowych twarzy na kolacji w kasynie, znowu ktoś z worka wyciągnął przedostatnią koszulę, a lekarz pułkowy pojechał gdzieś szybko swoim samochodem . . .

HALT!

Na malutką stacyjkę zajeżdża pociąg. Z wagonów wysypuje się na peron tłum ludzi z koszykami, walizkami i plecakami. To Niemcy z Zagłębia Ruhry i większych miast, którzy przyjeżdżają tutaj szukać żywności.

Wyskakują, śpieszą się, potrącają. Kto pierwszy dopadnie chat, kto pierwszy zdoła wytargować jakąś kurę, masło lub trochę mięsa — może jeszcze powróci wieczornym pociągiem. Inni będą nocować na wsi lub za 50 fenigów w poczekalni stacyjnej, stłoczeni na ławkach i pod ścianami.

Niestety, wyścig na wieś tym razem nie odbędzie się. Na dworcu jest polska żandarmeria. Rozpoczyna się kontrola dokumentów. Przerażeni ludzie nerwowo grzebią po kieszeniach, wyciągają jakieś legitymacje, przepustki i papierki, tłumaczą, gestykulują, przypodchlebiają.

Nie musi to być ostra kontrola, bo poza jednym zatrzymanym reszta rozchodzi się swobodnie. Nazajutrz rano ten sam tłum będzie się tłoczyć do wagonów, obładowany zdobytą żywnością. Może jeszcze Polacy sprawdzą dokumenty, może zajrzą do tego lub owego koszyka. Niemcy jednak wiedzą, że nikt im nie odbierze żywności, że żywność ta nie zostanie im skonfiskowana, że nikt nie będzie ich rozpędzał, nikt nie będzie strzelał, jak to było na porządku dziennym w Polsce.

Nikt nie zabierze Niemcom żywności. Chociaż w pobliskich obozach głoduje tysiące Polaków . . . Mimowoli przychodzi do głowy myśl, jak w zasadzie obce jest Polakowi uczucie zemsty, jak daleko jest od gróźb do czynów!

Jedno jest pewne, że Niemcy wolą nie nadużywać cierpliwości Polaków i wolą ich nie denerwować. Dlatego są karni i posłuszni. Trzeba zdejmować czapki przed polską flagą — zdejmują. Trzeba coś zrobić — wykonają natychmiast. Nie wolno chodzić po godzinie policyjnej — siedzą potulnie, w domach.

Osławione "*Wehrenwolfy*" też nie przejawiają swojej działalności. Raz tylko na ulicach jednego miasteczka ukazały się kartki, rozlepione przez tę organizację. Był to wyrok na pewną Gertrudę, która zbyt czynnie okazywała swoje sympatie Polakom. Skazano ją na obcięcie włosów z małą uwagą, że "wyrok będzie wykonany, gdy Polacy opuszczą miasteczko". Inne Gertrudy jednak, oburzone do żywego wyrokiem, jak naszybciej postarały się donieść, gdzie siedzi złośliwy "*Wehrenwolf*".

WRZEŚNIOWIEC

Zobaczyłem go z daleka. Stał przy drodze wyprostowany jak świeca, na pierwszy rzut oka wydawało się — ubrany jak z igły. Czarne, błyszczące buty, pas oficerski, srebrny wężyk na kołnierzu, furażerka, trzy gwiazdki na naramiennikach, proporczyki drugiego pułku szwoleżerów. Podniósł nieśmiało rękę.

Wojskowych można zabierać do samochodów. Dałem znak Kanadyjczykowi.

—Pan pozwoli, że się przedstawię — powiedział — jestem rotmistrz X . . .

Dopiero gdy siedział w samochodzie, przyjrzałem mu się bliżej. Błyszczące buty miały kilka misternych łat. Bryczesy cerowane w wielu miejscach. Kurtka wojskowa nosiła na sobie ślady wielu zabiegów igły, kolor naramienników różnił się widocznie od koloru reszty munduru. Srebrny wężyk na kołnierzu składał się z mieszaniny nici bawełnianych z dwiema czy trzema srebrnymi. Gwiazdki były haftowane. Orzełek na furażerce był również wyhaftowany czerwoną nitką na białym tle.

—Był pan w Dywizji? — spytałem.

—Tak — odpowiedział. — Mam tu znajomego podoficera z mego pułku. Przyjechałem do niego. Zdobył dla mnie papierosów . . .

—A skąd pan przyjechał?

—Z Koburga w Austrii. Autostopem . . .

—A nie zgłaszał się pan w Dywizji? Nie ma pan tu znajomych?

—Zgłaszałem się, ale co oni mogą nam pomóc? Przecież ja orientuję się dokładnie w ich trudnościach. Do wojska mnie nie wezmą. Będę siedział w obozie i czekał jak inni, może coś się zmieni. Łatwiej mi to przyjdzie, bo jestem sam.

. . . Tu zaczęła się długa opowieść. Opowieść o rodzinie, której już nie ma. Przez pięć lat wierzył i czekał. Żył nadzieją odnalezienia żony i dziecka. Nadeszła "wolność". W obozie w Dachau znalazła się jakaś pani, sąsiadka z tego samego domu gdzie mieszkał. Sąsiadka widziała wszystko.

Gestapo przyszło latem. I zaczęło pytać żonę, gdzie mąż ukrył spisy miejscowego Związku Legionistów. Żona przysięgała, że nie wie, ale Niemcy nie chcieli wierzyć. Na oczach matki zaczęli wykręcać ręce i nogi małej córeczce. Dziecko krzyczało okropnie, a matka całowała Niemcom buty i przysięgała, że nie wie, bo nie wiedziała naprawdę.

—Najpierw zamęczyli mi dziecko, a potem zamęczyli żonę — kończy rotmistrz głosem nienaturalnie spokojnym, jakby opowiadał o tym, co widział na filmie. — I tak już zostałem sam.

Milczę, bo cóż mam odpowiedzieć? Patrzę na wytarty mundur, na te gwiazdki żmudnie haftowane, patrzę na przejeżdżające rowerami dzieci niemieckie, które mają całe ręce i nogi, którym nikt rąk nie wykręcał . . . Patrzę na drzewa zielone, na schludne domki niemieckich miasteczek, na zieloność, spokój — i dławi mnie krzykiem krzywda, nasza ludzka, polska krzywda, wytarta i wyszarzała, największa krzywda ludzi wygnanych.

—Czy pan przypadkiem — przerywa rotmistrz — nie ma paru kanapek? Chciałbym sobie jakoś zarezerwować kolację . . .

—Oczywiście, mam sandwicze. — Obiecuję je dać rotmistrzowi przy rozstaniu.

Znowu ludzie przy drogach wyciągają ręce, ktoś zesłabł, inny wyłazi na szosę i usiłuje zatrzymać samochód — kręci się karuzela ludzkiego udręczenia pod niebem błękitnym, pod słońcem.

Żegnam rotmistrza na jakimś skrzyżowaniu dróg. Salutuje uroczyście, dumny w każdym calu, żołnierz do ostatka. A po dwudziestu kilometrach przypominam sobie, że miałem mu dać sandwicze. Wracam, wściekły na ambicję człowieka, który mi nie przypomniał, wściekły na to, że postąpiłem jak ten, który ma zapewnioną kolację. Ale rotmistrza już nie ma.

CO ROBIĆ?

W dowództwie Dywizji odwiedzam pułkownika Stankiewicza, który załatwia sprawy jeńców i wysiedlonych. Długi ogonek przed domem.

Pułkownika pamiętam z Normandii, z okresu walk pod Caen, Falaise, pod Chambois. Był to człowiek zawsze spokojny w najcięższych momentach, zawsze uśmiechnięty. Teraz wita mnie nerwowym ruchem ręki, zdenerwowanym głosem. I mówi:

—Proszę pana, niech pan powie, gdzie możemy jeszcze krzyczeć na świecie? Gdzie wołać o natychmiastową pomoc? Tu się dzieją rzeczy straszne. Ludzie głodują po obozach, nadal nieubrani, nadal bez opieki lekarskiej, nadal w łachmanach — to wszystko przychodzi do nas! Dywizja robi co może, ale to przerasta wszelkie możliwości. Zima idzie, co będzie?

Co będzie?

Wracam do Holandii i piszę te słowa. Holendrzy ciągle śpiewają na ulicach. W obozie prasowym błogi spokój bezrobocia, korespondenci wojenni z różnych stron świata gwarzą sobie przy kieliszku w restauracji pięknego hotelu.

Mój Boże, gdzie tu krzyczeć?

Czy nie lepiej uklęknąć i modlić się najgoręcej o jakąś olbrzymią bombę atomową, która nareszcie rozbije świat, z jego całą nędzą, ludzką krzywdą i upodleniem?

Możebyśmy wreszcie byli szczęśliwi, u Pana Boga za piecem, na mlecznej drodze duchów i zapomnienia . . . ?

RYSZARD KIERSNOWSKI

Fotografia nadesłana przez oficera łącznikowego z obozu Wolterdingen /koło Luneburga/, gdzie jednego dnia wzięło ślub 48 par



TOWARZYSZ BRONI

Jak Niemcy mordowali Polaków

Terror niemiecki nie ograniczał się do jakiejś jednej części Polski. Działał wszędzie. Nie było dosłownie zakątka Kraju, któryby nie spływał krwią.

W poprzednim omówieniu nakreśliliśmy obraz Warszawy i Lubelszczyzny. W województwie Łódzkim miały miejsce takie same masowe aresztowania. Ośrodkiem tych aresztowań w pewnym okresie były Pabianice. Aresztowano i rozstrzeliwano ludzi w okolicach Piotrkowa i w powiecie Radomsko. Wieś znajdująca się w pobliżu Tomaszowa Mazowieckiego przeżyła publiczne mordowanie grupy 20 zakładników.

Oto kronikarski opis hitlerowskiego morderstwa: — "Powiązanych za ręce, wykręcone do tyłu, ułożono rzędem jednego przy drugim na brzegu rzeki, zawiązano oczy, i następnie, do leżących twarzą do ziemi, strzelano z karabinu w tył głowy /w kark/. Ofiary pochowano na miejscu stracenia. Miejscowe władze gminne zwróciły się do władz okupacyjnych o zezwolenie przeniesienia zwłok na inne miejsce, przewidując, że na wiosnę, w razie wysokiego stanu wody grozi wymycie zwłok i uniesienie ich przez wodę".

W powiecie garwolińskim województwa Warszawskiego wsie Wola Żelazna i Radowice Duże, spotkał los wsi Polikije z Lubelszczyzny, o którym wzmiankowaliśmy poprzednio. Los ten oznacza całkowite spalenie zabudowań i mord nad całością mieszkańców. Podobnie okrutny los spotkał również i wieś Wanaty, na terenie tegoż powiatu.

Ten sam okres odznacza się terrorem i w innych częściach Kraju. "Urzędowe" morderstwa niemieckie dokonywano w Głownie, Konstancinie, Wilanowie, Falenicy, Zielonce i Żelechowie.

Po całym polskim Kraju szedł terror, docierał do wielkich miast i miasteczek, do osad przemysłowych, do wsi zapadłych. Wydawało się Niemcom, że mordem utrwalają swe panowanie na lat, jak zapowiadali, tysiąc . . .

Polska YMCA

Wielce dla żołnierza i uchodźcy polskiego zasłużona instytucja, zwana Polska YMCA, działa na terenie 14 krajów.

Według stanu na dzień 1 stycznia 1945 roku, istnieje w Polskiej YMCA 120 placówek stałych, 12 kantyn ruchomych. Instytucja zatrudnia łącznie 250 płatnych pracowników.

Dla Sił Zbrojnych Polska YMCA uruchomiła 83 placówki. Rozmieszczone są one następująco: Anglia — 24, Szkocja — 33, Francja — 3, Belgia — 1, Holandia — 5, Włochy — 13, Egipt — 4.

We Francji dla ludności cywilnej działa 16 placówek. W Palestynie — 5 dla junaków, a w Syrii — 1 dla studentów.

Ponadto dla uchodźstwa polskiego w Afryce: w Kenyi — 1, w Ugandzie — 2, Tangayice — 4, w Północnej Rodezji — 5, i w Południowej Rodezji — 3.

W Szwajcarii opiekę nad wieloma placówkami, zorganizowanymi dla internowanych żołnierzy polskich, sprawuje z ramienia YMCA War Prisoners Aid, jeden z dyrektorów Polskiej YMCA.

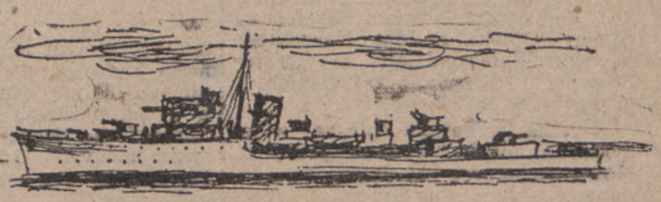
Polskiej YMCA należy się od nas, żołnierzy polskich jak najlepsza pamięć i wdzięczność. Jak również — serdeczne uznanie dla nieprzebranego w swej energii Amerykanina-przyjaciela Polski, a równocześnie generalnego dyrektora Polskiej YMCA p. Paul Supera.



Okręt podwodny O.R.P. "Wilk"



Kontrtorpedowiec O.R.P. "Piorun"



Kontrtorpedowiec O.R.P. "Krakowiak"

Rola Polskiej Marynarki Wojennej

Jeden z francuskich mężów stanu — Leygues — powiedział, że każdy kraj winien mieć marynarkę stosowną do swej polityki. Biorąc rzecz z tego punktu widzenia — Polska posiadała marynarkę poniekąd stosowną do jej polityki na wskroś pokojowej, bynajmniej jednak niestosowną do istotnych potrzeb obrony państwa. Zresztą mnóstwo potrzeb natury kulturalnej, gospodarczej i społecznej obciążało tak poważnie skarb polski, że stworzenie potrzebnej dla bezpieczeństwa państwa siły zbrojnej na morzu przekraczało poniekąd możliwości Rzeczypospolitej Polskiej w pierwszym dziesiątku lat po odzyskaniu niepodległości.

Tym niemniej rola polityczna polskiej marynarki wojennej była niewspółmiernie wielka do jej składu.

Jeszcze przed wojną ta niewielka lecz nowoczesna i bądź co bądź czwarta na Bałtyku marynarka /po Niemczech, Rosji Sowieckiej, Szwecji, a przed Danią, Finlandią, Estonią i Łotwą/ odegrała pewną rolę hamującą w konflikcie gdańskim. Pierwsza uprzedziła świat o szykującej się napaści niemieckiej. Wykryła przygotowania niemieckie oraz ruch transportów wojennych do Prus Wschodnich i Gdańska. Również pierwsza była czynnikiem zbliżenia między Polską a Wielką Brytanią, tak przez budowę okrętów polskich na stoczniach brytyjskich, jak przez wzajemne wizyty i układy.

W chwili wybuchu wojny polska marynarka wojenna pierwsza ze wszystkich sił zbrojnych przyjęła na siebie uderzenie nieprzyjaciela. Pierwsza — przez wysłanie trzech kontrtorpedowców do Anglii — urzeczywistniła przymierze wojskowe polsko-brytyjskie. Pierwsza zadała nieprzyjacielowi straty.

Mimo zupełnie niewspółmiernego stosunku sił, przez cztery i pół tygodnia utrzymała banderę swą na Bałtyku i jego polskim wybrzeżu, walcząc nie tylko z flotą, ale też z lotnictwem i wojskiem nieprzyjaciela. Straciła w tej nierównej walce kontrtorpedowiec "Wicher", stawiacz min "Gryf", 6 poławiaczy min, torpedowiec oraz kilka statków pomocniczych, ponad 10.000 ludzi w zabitych, rannych i wziętych do niewoli, całe swoje lotnictwo morskie i wszystkie — zresztą skromne — urządzenia i baterie nadbrzeżne.

Jednakże 32-dniowa obrona Helu, która zakończyła zorganizowany opór w Polsce /Warszawa kapitulowała po 28 dniach, a po upadku Helu już tylko luźne siły gen. Kleeberga walczyły kilka dni pod Kockiem/ była momentem politycznym i strategicznym nie bez znaczenia. Zatrzymała na sobie wielokrotnie większe siły niemieckie, dając mocarstwom zachodnim czas na zmobilizowanie swoich. Zadokumentowała niezłomną wolę do walki w zupełnie beznadziejnym położeniu /wojska sowieckie weszły do Polski w 17-ym dniu wojny polsko-niemieckiej/.

A, co ważniejsze, zachowała ciągłość tej walki.

Nie umilkły bowiem jeszcze działa na polskim brzegu, kiedy okręty polskie przybyłe do W. Brytanii rozpoczęły działania u boku *Royal Navy*, stwarzając pierwsze ogniwo ścisłej współpracy operacyjnej z aliantami. Prawdopodobnie pierwszy nieprzyjacielski okręt podwodny został zatopiony przez O.R.P. "Błyskawica". A przedarcie się "Orła" i "Wilka" z Bałtyku do Anglii poruszyło opinię całego świata.

W chwili gdy świat ten oszołomiony był szybkim zwycięstwem niemieckim, rozbiorem Polski i jej klęską — Polska Marynarka Wojenna potrafiła dowieść, że walka nie ustała i nie ustanie, że Polacy



Bandera

nie poddają się ani wrogowi, ani losowi, że wbrew oświadczeniom: "Polska skończyła się na zawsze" — istnieje suwerenne polskie terytorium na pokładach okrętów wojennych i statków handlowych pod polską banderą pływających. Odbudowanie znaczenia wojskowego, a zatem i politycznego Polski w tak ciężkiej chwili, oraz pobudzenie opinii publicznej na korzyść Polski — nie słowem, ale czynem zbrojnym, duchem, sprawnością i dzielnością było wówczas dziełem polskiej Marynarki Wojennej.

Odtąd polska marynarka — skromna u boku *Royal Navy* — przy każdej okazji zaznaczała obecność swej Ojczyzny w walce o wolność narodów. Że zacytujemy tylko słowa brytyjskiego publicysty: "Polska Marynarka Wojenna — mimo swej szczupłości brała udział we wszystkich ważnych operacjach *Royal Navy*".

Narwik, Dunkierka, Calais, Cherbourg, Lofoty, Szpitzbergen, konwoje atlantyckie, śródziemnomorskie i arktyczne, Murmańsk, Malta, pościg za "Bismarkiem", wody greckie, bitwa o Atlantyk, operacja pod Dieppe, Alger i Tunis, Sycylia, Brindisi i Adriatyk, Korsyka, Salerno, Dodekanez i Kreta, wyprawa na "Tirpitza", liczne walki na wodach okalających Zjednoczone Królestwo, wyprawy przeciw "raiderom", Afryka Zachodnia poza równik, inwazja Francji — oto tylko bardzo powierzchowny rzut oka na działalność polskiej Marynarki Wojennej.

Okrętów polskich było mało, bardzo mało. W Polsce 4 kontrtorpedowce, 5 okrętów podwodnych, stawiacz min i dziesiątek mniejszych jednostek. W Wielkiej Brytanii z początku tylko 3 kontrtorpedowce i 2 okręty podwodne. W początkach października 1943 — krążownik, 7 kontrtorpedowców, 3 okręty podwodne i 3 ścigacze. Dziś — po stracie krążownika "Dragon" — 1 krążownik, 6 kontrtorpedowców, 3 okręty podwodne, 8 ścigaczy. Pozatem 3 okręty podwodne internowane są w Szwecji. 2 okręty podwodne — "Orzeł" i "Jastrząb" oraz 3 kontrtorpedowce — "Grom", "Kujawiak" i "Orkan" stracono również w walce z nieprzyjacielem.

Tych kilkanaście okrętów przepłynęło od początku wojny w działaniach bojowych ponad 1.850.000 mil morskich, zatopiło według wszelkiego prawdopodobieństwa 80 okrętów i statków nieprzyjacielskich, zniszczyło około 90 samolotów, wykonało ponad 2.000 eskort i patroli, uczestniczyło w ratunku 19 sprzymierzonych okrętów wojennych, 28 statków handlowych i 30 samolotów, walczyło ponad 300 razy z okrętami nieprzyjacielskimi, ponad 400 razy z samolotami, 60 razy z bateriami nadbrzeżnymi.

Tym samym Polska Marynarka Wojenna utwierdziła na świecie mniemanie o żywotności Państwa Polskiego, o niezwyciężoności oręża polskiego, o niezłomnej wierze w zwycięstwo Sprzymierzonych, nawet w tych chwilach, gdy w zwycięstwo to wielu ludzi na obu półkulach wątpiło. Sprawie Sprzymierzonych Narodów oddała wielkie usługi nie tylko bojowe, ale i natury polityczno-moralnej. Zaufaniem do swej brytyjskiej wielkiej Sojuszniczki i wiernością dla ideałów, o które Polska walczy, zadała kłam wszelkiej wrogiej propagandzie. Jej szczupły personel — oprócz tysiąca stu odznaczeń polskich — uzyskał 32 procent odznaczeń brytyjskich przyznanych t.zw. małym marynarkom sojuszniczym.

Polska Marynarka Wojenna jak stwierdził Naczelny Wódz: "Dobrze zasłużyła się Ojczyźnie".



Okręt podwodny O.R.P. "Orzeł"



Kontrtorpedowiec O.R.P. "Burza"



Krążownik O.R.P. "Dragon"

Z miejsc postoju

W dniach 10 i 11 sierpnia 1945 roku, odbył się w Szkocji Zjazd instruktorów, drużynowych i kierowników kręgów starszoharcerskich Chorągwi Wojskowej Związku Harcerstwa Polskiego — Okręg Brytyjski.

W Zjeździe wziął udział jako przedstawiciel Dowódcy Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii gen. bryg. Dworak, który życzył owocnych obrad, zapewniając Zjazd o pełnym poparciu czynników wojskowych dla pracy harcerskiej, prowadzonej w naszych szeregach. Jako niedawny zastępca Dowódcy 1 Dywizji Pancernej gen. Dworak podkreślił z gorącym uznaniem pracę harcerzy na terenie 1 Dywizji Pancernej, oraz jej konstruktywne wyniki, czemu dał wyraz zjazd harcerzy Dywizji, odbyty w Bredzie, w Holandii.

Stan organizacyjny Chorągwi Wojskowej obejmuje hufców 5, drużyn starszo-harcerskich 12, kręgów męskich 73, kręgów żeńskich 1, drużyn młodzieżowych 2. Osobowo: starszych harcerzy, zrzeszonych w kręgach 1420, starszych harcerzy niezrzeszonych w kręgach 688, starszych harcerek 40. Łącznie — 2148. Harcerzy — 57.

W okresie sprawozdawczym odbyło się 11 obozów harcerskich w Szkocji i Anglii. Wzięło w nich udział 236 harcerzy i harcerek. Niektóre z tych obozów rozbiły namioty w bezpośrednim zasięgu oddziałów wojska w Szkocji. W szczególności pod tym względem wymienić należy obozy drużyn: 9 Pułku Ułanów Małopolskich, oraz Centrum Wyszkolenia Artylerii.

Spośród materiałów zjazdowych bardzo interesujący referat wygłosił jeden z uczestników powstania warszawskiego, absolwent harcerskiej Szkoły Podchorążych "Agrykola", o pracy harcerskiej i jej osiągnięciach pod okupacją.

Tegoroczny dzień Święta Żołnierza — 15 sierpień — obchodzony był na miejscach postoju w Szkocji nabożeństwami i pogadankami. "Nowiny", organ 4 Dywizji Piechoty, piszą w numerze poświęconym rocznicy.

Tegoroczne Święto Żołnierza obchodzimy znowu w odmiennych zupełnie warunkach. Wojna skończona, działań wojennych już nie ma, a jednak ciągle trzymamy karabin w garści, a trzymamy i trzymać będziemy dlatego, że cel, o który walczyliśmy na wszystkich frontach świata nie został jeszcze osiągnięty.

18 sierpnia r.b. w murach Wyższej Szkoły Wojennej w Szkocji odbyło się zakończenie XXIII kursu. Na zakończenie przybył Naczelny Wódz gen. dyw. Tadeusz Bór Komorowski, Szef Sztabu Naczelnego Wodza gen. dyw. Stanisław Kopański, Dowódca Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii gen. dyw. Janusz Głuchowski, Szef Brytyjskiej Misji Łącznikowej, oraz przedstawiciel *Scottish Command*. Nabożeństwo odprawił w kaplicy Szkoły ks. Harold, Szkot i gorący przyjaciel Polski.

NOWY NUMER "BELLONY"

Wyszedł z druku sierpniowy zeszyt Bellony, miesięcznika wojskowego, wydawanego przez Sztab Naczelnego Wodza. Na treść numeru złożyły się następujące artykuły. K.D. — Doświadczenia i wnioski z działań 1 Polskiej Dywizji Pancernej; Aberet — Fragmenty działań kawalerii polskiej w kampanii 1939 r.; J.M. — Uwagi na temat artykułu: "Lekka Dywizja Pancerna"; inż. Ant. Wasiutyński — Przemysł w ramach gospodarki planowej na tle wysiłku wojennego Wielkiej Brytanii; Miesięczny przegląd ważniejszych wydarzeń wojennych; Recenzje.

Na Polaków uwolnionych z Niemiec: £1,351

Przesyłając w załączeniu British Money Order Nr. XF 95890 na sumę £19.1.0 /słownie: £ dziewiętnaście, sh. jeden/ prosimy o przekazanie tej sumy na Pomoc Polakom w Niemczech /dla dzieci/.

Suma powyższa jest czystym zyskiem z zabawy tanecznej urządzonej w dniu 12.6.1945 przez instruktorów Szkoły Kierowców Pojazdów Mechanicznych Brygady CW Piechoty.

za Komitet Zabawy:
J.M. por.

* * *

W załączeniu przesyłam Money Order Nr. OE 31451 na łączna kwotę £7.15.5 z przeznaczeniem na pomoc byłym jeńcom polskim w Niemczech.

Suma ta została złożona:

1. £1.5.0 collected by the R.C. Chaplain 71 AA Bde., Father Roberts, during Mass attended by the Polish H.A.A. Battery, and was offered by him for the Aid for Polish Ex-P.O.W. in Germany.
2. £6.10.5 zostało zebrane przez szeregowych Samodzielnego Dyonu Art. Plot. Ciężkiej drogą dobrowolnych składek z życzeniem przekazania tej sumy do P.T. Administracji "Polski Walczącej" na pomoc byłym jeńcom polskim w Niemczech.

D-ca Sam. Dyonu. Art. Jlot. C.
J.M. kpt.

Na pomoc Polakom w Niemczech Józef Adrul sh. 10, Bolesław Kryński £1.2.6, Stanisław Krawczyk sh.10. Razem £2.2.6.

* * *

Ośrodek Rodzin Wojskowych w Edinburghu przesłał przekaz pocztowy na £10.2.szl. otrzymane ze sprzedaży biletów loteryjnych. Loteria urządzona została na rzecz Polaków przebywających w Niemczech. Wygraną stanowiła lalka ofiarowana przez p. Marię Wysocką. Ciągnienie odbyło się d. 26 sierpnia w Domu Żołnierza w Edinburghu. Wygrana padła na nr. 47.

za Zarząd Ośrodka Rodzin Wojskowych
Skarbniczka: H. Kleebergowa

* * *

Pani /Mrs./ Margaret Mackie, 29, Maitland Ave., Musselburgh przesłała na moje ręce kwotę £1 /jeden funt/ z przeznaczeniem na "Fundusz Polakom w Niemczech".

Powyższą kwotę w postaci "Postal Order" przesyłam w załączeniu przy niniejszym piśmie i proszę o ogłoszenie w Tygodniku "Polska Walcząca" następującej notatki:

Mrs. Margaret Mackie, 29, Maitland Ave., Musselburgh, ofiarowała kwotę £1 /jeden funt/ na "Fundusz Pomocy Biednym Polakom" K.M. mjr.

Kierownik Składnicy
K. Malcolm Morris mjr.

* * *

Provost miasta Naim p. MacKay złożył na ręce Dowódcy 3 Baonu Grenadierów kwotę £25 z przeznaczeniem na Pomoc Polakom w Niemczech, jako częściowy dochód z imprezy tanecznej urządzonej w dn. 16 b.m. to jest w drugim dniu zwycięstwa.

W załączeniu przesyłam Money Order nr. OP 707541 na kwotę £5.3.6 zebraną przez szereg, Sam. Dyonu Art. Plot. C. drogą dobrowolnych składek z życzeniem przekazania tej sumy do P.T. Administracji Polski Walczącej na pomoc b. jeńcom w Niemczech.

D-ca Sam. Dyonu Art. Plot. C.
/—/ P.M. kpt. art.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £45.4.5 /słownie: czterdzieści pięć funtów, cztery szylingi i pięć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1,351,9.0½ /słownie: tysiąc trzysta pięćdziesiąt jeden funtów, dziewięć szylingów i pół pensa/.

POSZUKIWANIA

STEFAN RADKIEWICZ poszukuje BARBARĘ WIŚNIEWSKĄ córkę Marii. Zgłoszenia proszę kierować: Kpt. Radkiewicz Polish Forces P/40 B.L.A.

ZDZISŁAWA MIKIELSKIEGO, deportowanego z Warszawy do Magdeburga, adwokata ZYGMUNTA BILNIKA poszukuje i prosi o wiadomość o nich Jerzy Niemirowski z rodziną, przebywający w obozie polskim w Niemczech Etzel-Wöln.

Ks. Dr. STANISŁAW STACHOWIAK Saint Casimir's Church, 164, Nichals Street, Newark, New Jersey 5 poszukuje swego bratanka MARCELEGO STACHOWIAKA, jeńca z kampanii wrześniowej którego adres w maju 1941 r. brzmiał: Gefangenennumer 8473 Lager Bezeichnung Stalag X A Arb. k.d.o. 2103. Wszystkie osoby, któreby mogły udzielić jakichkolwiek wiadomości sa uprzejmie proszone o skomunikowanie się z ks. Stachowiakiem.

Ktokolwiek wie o losach rodziny Dr. BLUTREICH SERAFINA /kpt. lekarz, ur. w 1900 r. w Zaleszczykach, proszony jest o przesłanie wiadomości pod adresem: Dr. Blutreich, Polish Forces 37, C.M.F.

HENRYK OSTROWSKI poszukuje żony Walentyny i brata Zygmunta. Jest w obozie wojskowym Unterlüss. Adres: Polish Military Cámp, Germany, Celle-Georgsgartestrasse Blok VI-plut. pchr. Ostrowski Henryk.

Poradnik żołnierski

Strz. Bruch.
Stosownie do życzenia Pana, prośbę Pana przekazałem Szefostwu Służby Opieki Sztabu Naczelnego Wodza. Mam nadzieję, że wkrótce otrzyma Pan żądane informacje.

W.B.
Książka kucharska /polska/ w języku angielskim wydana przez P. Nowosielską jest już dawno wyczerpana.

Strz. Pusz. Paweł.
W sprawie Krzyża "Monte Cassino" proszę się zwrócić listownie do swego Dowódcy z okresu walk we Włoszech.

Jednocześnie prośbę Pana o wydanie legitymacji uprawniającej do noszenia "Krzyża Walecznych", przesłałem Referatowi Odznaczeń Gabinetu Naczelnego Wodza. Proszę podać swój adres.

E.R.
Sprawę zmniejszenia Panu racji czekolady przekazałem Szefostwu Służby Opieki nad Żołnierzem.

Pani Halina W.
Dodatek rodzinny będzie przysługiwał mężowi Pani dopiero z pierwszym dniem następnego miesiąca po miesiącu, za który Pani otrzymała odprawę w urzędzie cywilnym. W sprawie tej radzę, by mąż zgłosił się do Oficera gospodarczego swojego oddziału, gdzie będzie musiał wypełnić odpowiednią deklarację.

Kapral Albin P.
Jeśli Pan nie chce skorzystać z możliwości spędzenia urlopu w domu brytyjskim na prawach gościnności, radzę prosić oficera Opieki, by ułatwił Panu otrzymanie miejsca w Polskim Domu Wypoczynkowym "Craig" the Scores — St. Andrews /przy plaży/. Opłata dzienna dla Pana, jako dla kaprala wyniosłaby tylko 1 sh.

Por. M.N.
Kurs, o który Pan pyta, rozpocznie się pod hasłem: *"Nation of Shopkeepers"* dn. 10 września b.r. w Birmingham. Kurs ten, mający w programie wiedzę o Wielkiej Brytanii jako narodzie kupieckim, organizuje *British Council* w Birmingham. Jako uczestnikowi kursu przysługuje Panu urlop okolicznościowy, bezpłatny przejazd tam i z powrotem oraz zwrot nominalnych kosztów utrzymania /szeregowi otrzymują dodatek żywnościowy, kwaterowy oraz jednorazowo 15 sh./.

H. por.
W sprawie Krzyża "Virtuti Militari" pisaliśmy obszernie w nr. 21 "Polski Walczącej".

Parokrotne nadanie "Krzyża Walecznych" oznacza się przez odpowiednią ilość okuć na wstążce lub baretce. "Krzyż Walecznych" może być nadany czterokrotnie w ciągu jednej wojny. Może więc zajść wypadek, że ktoś był odznaczony czterokrotnie "Krzyżem Walecznych" w poprzedniej wojnie i również czterokrotnie w ostatniej wojnie. W takim wypadku nosi dwie baretki różne /porządek kolorów jest odwrotny/.

P. N. ppor.
O ile Pan będzie powołany do służby wojskowej z długoterminowego urlopu bez prawa uposażenia z budżetu Wojska — otrzyma Pan uposażenie podporucznika od pierwszego dnia następnego miesiąca po miesiącu, za który Pan otrzymał uposażenie z Ministerstwa. Ponieważ otrzymał Pan trzymiesięczną odprawę, będzie ona uwzględniona jako uposażenie. O ile otrzyma Pan trzymiesięczną odprawę za sierpień, wrzesień i październik b.r., to należności z wojska będą Panu przysługiwały od 1 listopada 45.

P. S. por.
W sprawie przesunięcia Pana Porucznika z urlopu długoterminowego bez prawa uposażenia z budż. wojsk. do grupy urlopowanych z prawem do uposażenia zmniejszonego, proszę się zwrócić do Szefa Oddziału Personalnego Sztabu N.W.

Chor. M.M.
Dodatek za wysługę lat w czasie wojny przysługuje Panu. Ponieważ ma Pan /do 3.9.44/ za sobą 4 lata służby w Wojsku Polskim, działającym w łączności organizacyjnej z Wojskiem Brytyjskim, należy się Panu sh. 1/1 za każdy dzień od 3.9.44. O ile Pan dotychczas nie złożył odpowiedniego oświadczenia w tej sprawie należy prosić Oficera Gospodarczego o specjalny druk, który radzę niezwłocznie wypełnić.

Kpt. W.
Ponieważ do uposażenia wojskowego nabędzie Pan Kapitan prawo dopiero po upływie okresu, za który otrzymał Pan uposażenie z Ministerstwa, słuszne jest, że zażądano od Pana uregulowania należności za wyżywienie w kasynie oraz opłacenie własnej kwatery.

Witold Soł — ski.
Z listu widzę, że jest Pan rozgoryczony i zniechęcony do dalszych starań o odkomenderowanie na studia. Zapewniam Pana, że do odkomenderowań na studia mają prawo wszyscy żołnierze, którzy nie przekroczyli 30 lat. Żołnierze ranni, odznaczeni i mający za sobą służbę frontową mają wprawdzie pierwszeństwo, ale to nie wyklucza, że i inni żołnierze mogą być odkomenderowani na studia. Termin składania podań /drogą służbową/ o odkomenderowanie na studia na r. szkolny 1945/ — minął z dniem 30 sierpnia 1945 r.

"Zainteresowany".
Sprawa demobilizacji Armii Polskiej, będącej w łączności organizacyjnej z Armią Brytyjską zależy od decyzji Władz Brytyjskich. Dotychczas nie zostaliśmy powiadomieni na jakich podstawach ewent. demobilizacja będzie przeprowadzona i jakie odprawy będą przysługiwać żołnierzom polskim. Kwestia wyjazdu do innych krajów będzie aktualna dopiero z chwilą demobilizacji. Na razie żadnych dyrektyw w tej sprawie nie mamy. W sprawie rzeczy pozostawionych we Francji udzielę odpowiedzi listownie po podaniu mi Pańskiego adresu.

P. Alojzy M.
Nie ma Pan żadnych podstaw do upominania się o wypłaty rzekomo zaległego "dodatku za wysługę lat". Dodatek ten przysługuje tylko od 3.9.1944 r. i to jedynie tym żołnierzom, którzy ukończyli przed 3.9.44 względnie ukończą po 3.9.45 — trzy lub cztery lata służby w Wojsku Polskim, działającym w łączności organizacyjnej z Wojskiem W. Brytanii.

Por. W.
W związku z podanym w poprzednim "Poradniku" adresem byłego Oflagu VI.B. zwrócono nam uwagę, że nowy, aktualny adres tego obozu brzmi: Polish Officers Camp, Peckelsheim, near Warburg, c/o nr. 603 Mil. Gov. Det. B.A.O.R.

Sierżant Rudolf S.
O ile fabryka, o której Pan pisze przyjmie Pana na praktykę i wyda Panu zaświadczenie stwierdzające to, może Pan prosić w drodze służbowej o odkomenderowanie. Odkomenderowanie takie w zasadzie może być udzielone na okres nie dłuższy, niż 6 miesięcy. Na czas odbywania praktyki będzie Pan musiał zapewnić sobie środki utrzymania.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY POKÓJ POTRWA TRZY TYSIĄCE LAT . . .

GDZIEŚ W SZKOCJI . . .



—Dokąd jedziecie?
—Na kurs, panie szefie!
—Jaki?
—Żniwiarski . . .

POPRAWKI HISTORYCZNE

—Niesprawiedliwa jest opinia publiczna. Pisze się tylko o Ameryce, Wielkiej Brytanii i Rosji, że pokonały Japonię a słowem nic się nie pisze o Czechosłowacji, która pierwsza wypowiedziela wojnę . . . Japończykom . . .

AKTUALNA PIOSENKA

Podobno jeden z chórów żołnierskich gdzieś w Szkocji przygotowuje nowy repertuar. Między innymi — przewidziana jest stara melodia:

"Za gościnę dziękujemy, zdrowia szczęścia winszujemy, za ten "blady" rók . . ."

SZCZERA ODPOWIEDŹ

—Jeżeli wyjedziecie ze Szkocji — pyta Szkot Polaka — czy wszystko zabierzecie ze sobą?

—O tak! — nawet weźmiemy ze sobą reumatyzm . . .

W KASYNIE

—Panie kolego, pan ma szanse wyjazdu do Australii!

—Ja??? — Przecież ja się nie znam na hodowli bydła!

—Jakto nie? A przez pięć lat co innego pan robił . . . Byczył się pan . . .

NOWE M.P. W LONDYNIE

—Czy to prawda, że "Rubens" znowu przenosi się?

—Tak, tym razem bliżej dworca osobowego: "Victoria" . . .

ROZMOWA W SZKOCJI

—To pan się teraz żeni? Po wojnie???

—Trudno, w czasie wojny nie mogłem się żenić!

—Dlaczego?

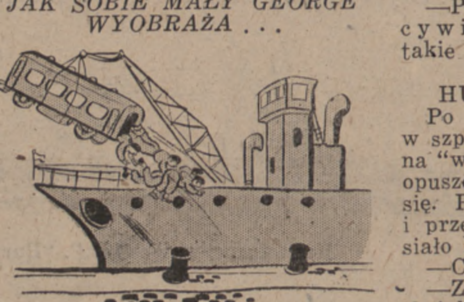
—Ona była na froncie!

PO BOJKOCIE BARÓW W PEEBLES



"Naoczniki" dla "trunkowych" żołnierzy . . .

JAK SOBIE MAŁY GEORGE WYOBRAŻA . . .



szybkie zaokrętowanie żołnierzy . . .

BAJECZKA Z ŻYCIA . . .

Pewien plutonowy otrzymał wiadomość o odnalezieniu żony.

—To pan pewnie się cieszy?

—O tak, żona to tak jak weksel — zawsze wróci do właściciela . . .

W SALONIE POLSKO-SZKOCKIM

Szkotka: — Zazdroszczę wam, że możecie wyjechać do Australii, Brazylii, Argentyny . . .

—Czego zazdrościć? To nasza tragedia!

—Ładna tragedia! Co ja bym dała, żebym mogła zmienić nasz klimat! . . .

STARY ŻOŁNIERZ

Pewien stary oficer zjawia się w kasynie w cywilnym ubraniu. Jest duże poruszenie widokiem nowego "cywila".

—Świetnie prezentuje się pan w cywilu. Jak się pan czuje w nowym garniturze?

—Potwornie! Trzeba mieć dużo cywilnej odwagi, by włożyć takie ubranie.

HUMOR Z INNEJ BECZKI

Po kilkumiesięcznej kuracji w szpitalu dla obłąkanych wychodzi na "wolność" jeden z chorych. Przed opuszczeniem gmachu pacjent goli się. Po ogoleniu chwyta za brzytwę i przecina sznurek, na którym wisiało lustro. Lustro rozbija się . . .

—Co zrobiłeś — pytają koledzy.

—Zawsze mam takiego pecha! chciałem się ogolić i podciąłem sobie gardło! . . .

MANEWRY W SZKOCJI



—Zjedziecie mi zaraz z tej łączki czy nie?
Chcecie, żeby nam ludność zdemolowała czołg?

POKOJOWE ĆWICZENIA



—Czy dzisiaj macie nocne ćwiczenia?
—Tak jest panie kapitànie! Dancing skończy się około 4 rano! . . .

W WARSZTACIE SAMOCHODOWYM

—Panie chorąży, nigdy nie przypuszczałem, że pan jest faszystą! . . .

—Ja, panie kapitanie???

—No tak, nosi pan taką czarną koszulę! . . .

Tekst i rysunki: TONY

SPIS RZECZY:

WYDAJE SŁUŻBA OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową w Wielkiej Brytanii i zagranicą 1 sh. 6 d., kwartalnie 4 sh. 6d. Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "POLSKA WALCZĄCA" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.